

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 4

(89) 2017

Ks. prałat Jan Pasierbek o pamięci o Orłętach Lwowskich  
♦ Jubileusz Ossolineum w relacji Małgorzaty Orzeł ♦ Lucyna Kulińska o idei prometeizmu ♦ Paweł Brzegowy o Antonim Rehmanie ♦ Rozmowa z Andrzejem Chłopeckim o dramacie ekspatriacji ♦ Sławomir Gowin o warszawiaku z sercem batiara ♦ Wiersze Hanny Wietrzny ♦ Proza Pawła Jaszczuka

---

## Staropolskim obyczajem

19 stycznia br. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. wspólnie celebrowały uroczyste Spotkanie Oplątkowe.

Licznie zebranych w Sali Łucznicznej budynku „Sokoła” powitał Gospodarz obiektu, Prezes Tow. Gimnastycznego „Sokół”, Druh Konrad Firlej, a z ramienia TML i KP-W ciepłe słowa skierował Wiceprezes Stanisław Czerny (pod nieobecność chorego Prezesa Adama Gyurkowicha).

Wieloletni kapelan TG „Sokół” ks. Wacław Piszczek przypomniał słowa z drugiego rozdziału Ewangelii wg św. Łukasza i poprowadził modlitwę, by Narodzony Zbawiciel udzielił wszystkim zebranych daru miłości, zgody i pokoju, obdarzył szczęściem i radością, byśmy jaśnieli blaskiem światłości Chrystusa w naszym codziennym postępowaniu.

Łamiąc się Oplątkiem mieliśmy okazję wykazać dobrą wolę, życzliwość serca, wyzwolić nasze dobre uczucia, wyjść z codzienności w przestrzeń sakralną. Zasłużeni członkowie TG „Sokoła” zostali odznaczeni medalami.

A potem... a potem popłynęły, przy wtórze skrzypiec p. Romy Krzemień i towarzyszącego harmonisty Augustyna Cieśli i Jerzego Bożyka na klawikordzie, nasze piękne, wzniosłe kolędy w tanecznych rytmach poloneza, kujawiaka czy mazurka autorstwa wybitnych polskich twórców Franciszka Karpińskiego, Piotra Skargi, Teofila Lenartowicza, ale w większości anonimowe.

Serca lwowian – ale nie tylko – rozgrzał p. Wojciech Habela, mistrzowsko prowadząc zebranych utworami Jerzego Michotka, Feliksa Konarskiego, Mariana Hemara – ulicami „tamtego dawnego Lwowa” – legendarnego, niezwykle, niezapomnianego – zbierając rześiste brawa.

Swoim wokalnym talentem i radosnym, żywiołowym wykonaniem kolęd „lwowskiej” i „krakowskiej” zachwyciła Jaga Wrońska, ożywiając ducha jedności.

Dziękujemy Gospodarzowi i zaprzyjaźnionym – a niejednokrotnie genetycznie „wrośniętym w Lwów” – Artystom za darowany nam czas, radość i wzruszenie.

*Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogostaw Ojczyznę miłą.*

Krystyna Stafińska

---

# Homilia ks. prałata dra Jana Pasierbka (z Bazyliki Mariackiej)

W czerwcu 1979 r. Ojciec św. Jan Paweł II, będąc w Belwederze, mówił o polskich zmaganiach, o uciemnionej Polsce, o odzyskanej wolności. Powiedział wówczas: *Te bolesne zmagania stały się kuźnią polskiego patriotyzmu*. Zmagania, walka o Lwów, były tego dnia poglądową lekcją patriotyzmu, tego, czym jest Ojczyzna, i tego, że Ojczyzna nieraz wymaga ofiary i poświęcenia. Kiedy w 1918 r. przedstawiciele Niemiec i Austrii w Brześciu Litewskim postanowili od Polski odłączyć Wschodnią Galicję, społeczeństwo uznało te brzeskie ustalenia za krzywdę i postanowiło walczyć. Do walki stanęli obok siebie doświadczeni żołnierze, studenci, gimnazjaliści, ojcowie, a nawet dzieci. Walczyli o to, o czym pisał biskup Bandurski: *Zbudujemy twierdzę w każdym domu i będziemy tam mieszkać. Ziemi Czerwieńskiej nie damy nikomu. Lwów musi być naszym*.

Dzisiaj wspominamy i modlimy się szczególnie za Orłęta Lwowskie. Tą nazwą określa się młodych mieszkańców Lwowa, którzy wobec braku regularnych oddziałów wojskowych we Lwowie, ochotniczo przystąpili do walki z oddziałami ukraińskimi. Do walki przystąpili studenci, robotnicy, urzędnicy, uczniowie, dziewczęta i chłopcy. Na przedpolach Lwowa walczyła młodzież z oddziałami ukraińskimi. Miasto Lwów – Lwów od XIV w. należał do Polski – było miastem zamieszkałym w większości przez ludność polską. We Lwowie mieszkało ok. 206 tys. ludzi, w tym 105 tys. Polaków, 57 tys. stanowili Żydzi, a 39 tys. Ukraińcy. Przeciwnikami Orłąt Lwowskich były oddziały Ukraińskiej Armii Halickiej. W uznaniu bohaterskiej postawy i zasług – cały Lwów, jako miasto, został listopada 1920 r. przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego odznaczony orderem *Virtuti Militari*. Uroczystość odbyła się przed kolumną Adama Mickiewicza.

Pamiętamy o bohaterskich czynach Orłąt Lwowskich. Ale nie wszystkie nazwiska bohaterów są znane, tak jak nazwisko żołnierza, który został pogrzebany w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Miejsce

spoczynku Orłąt Lwowskich uważano za miejsce święte – *Campo Santo*. Za pierwszego poległego Polaka w Obronie Lwowa został uznany 23-letni Andrzej Batalia.

Już w ciągu trzech tygodni obrony Lwowa w kraju – w Polsce – następowały zasadnicze zmiany. Zaczęły się tworzyć zręby polskiej państwowości. Wtedy też możliwa już się stała pomoc samotnie walczącym lwowianom.

Miał rację Ojciec Święty Jan Paweł II, kiedy mówił, że zmagania, walka o Lwów, polski Lwów, były lekcją poglądową, czym jest Ojczyzna. I że ona nieraz wymaga wielkiego poświęcenia. Modląc się dzisiaj za Lwowskie Orłęta, pamiętajmy słowa, które w Belwederze powiedział Jan Paweł II.

Dobrze, że jesteście, bo dzisiaj Polska potrzebuje modlitwy. Powtarzam! Potrzebuje modlitwy! Potrzebuje także pamięci o naszej historii, o naszych polskich zmaganiach i o tym, jak rodziła się narodowa wolność. Ojczyzna nasza potrzebuje modlitwy, a nie walki. Polska jest wolna, możemy śpiewać: *Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie*, w naszym domu ojczyźnianym jednym językiem możemy wychwalać Boga, ale niestety dziwne to i smutne, że tym jednym językiem nie możemy się dogadać. Zapominamy o tym, co jest grzechem, co jest bluźnierstwem, co jest kłamstwem i co jest krzywdą. Wiadomo, że siłą narodu jest jedność ducha. I bardzo potrzebujemy przekazywać sobie na serio znak pokoju i pojednania. Nie wolno przecież rozszarpać Polski! Nie wolno rozszarpać Ojczyzny naszej!

W ostatnich miesiącach z wielu miejsc dochodzą nas głosy ludzi, którzy czarno widzą przyszłość naszej Ojczyzny. Straszy się nas państwem policyjnym, straszy się ciemnogrodem! Wierzyć trzeba nam mocno i tę wiarę umacniać, że Ojczyzna nasza może być jasna, świetlana i piękna. Ale, jak mówił św. Jan Paweł II, trzeba koniecznie: *byśmy się nie znudzili, nie zniechęcili i nie dali się wyrwać, nie dali się wyrwać z tych korzeni, z których przez wieki wyrastaliśmy*. Mówiąc „Ojczyzna”, trzeba wspominać naszą histo-



rię, wspominać tych wielkich i mądrych oraz świętych naszych.

Ojciec Święty Jan Paweł II przybywając do Polski często mówił o Ojczyźnie. Zwracał uwagę na rolę narodu. Wzywał do zachowania języka polskiego, do zachowania polskich świąt, zachowania niedzieli, zachowania dziedzictwa naszych ojców.

Nieżyjący zaś biskup Kazimierz Ryczan mówił jeszcze nie tak dawno temu w Częstochowie: *Bracia i siostry, zacznijmy nazywać Ojczyznę po imieniu. Przejmujemy z Zachodu to, co dobre i wartościowe i sprawdzone, ale nie pozwalajmy na to, by ziemia polska, o którą tyle razy przelewano krew, niech ta ziemia polska nie będzie moralnym śmietnikiem.*

Pisarz i polityk amerykański w swej książce napisał, że wiary religijnej nie wolno usuwać z życia publicznego. Demokracja bowiem bez etyki staje się totalitaryzmem ludzi, i trzeba pamiętać o tym, że najeżdźcy bili polskie dzieci za to, że odmawiały po polsku pacierz. Trzeba nam nawiedzać groby tych, którzy polegli w obronie Ojczyzny, budzą sumienia żyjących. Budzą ich sumienia i uczą, jak wybierać w życiu dobro. Modląc się w intencji Ojczyzny, mówmy znane słowa: *Daj nam uprzątnąć dom ojczysty, tak z naszych zgłiszcz i ruin świętych, jak z grzechów naszych, win przeklętych: Niech będzie biedny, ale czysty\*.*

Moi drodzy Bracia i Siostry, proszę, aby pamiętać o tych, którzy ginęli w obronie Oj-

czyzny. Szczególnie proszę o to młodych. Ojczyzna – Polska, potrzebuje modlitwy, a nie zwalczających się ugrupowań politycznych. Polska jest wolna, możemy wspólnie śpiewać: *Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie.*

Trzeba nam być razem i mieć jednego ducha, i jedno serce, i umieć sobie przebaczać: trzeba nam jedności.

Całe narody pragnące pokojowo współpracować dochodzą do wniosków, że jedynym rozumnym rozwiązaniem konfliktów jest wybaczenie krzywd. Obok motywów społecznych przemawiają do nas motywy religijne, aby uczyć się sztuki przebaczenia. Przebaczenie i miłosierdzie są wyłącznym znakiem rozpoznawczym naszej przynależności do Boga. Bez umiejętności przebaczenia nie będziemy mieć udziału w zbawieniu przez Chrystusa.

Męka Chrystusa na krzyżu przypomina nam, jak wielką winę nam darował Bóg, a my wciąż na przebaczenie Boże liczyć musimy. Od naszej szlachetności i od naszego wybaczenia Bóg uzależnił swoje nam przebaczenie.

Ponieważ Bóg będzie nas sądził z miłości wybaczącej, dlatego weźmy na drogę życia słowa przewodnie Pisma Świętego: *Gdy człowiek żywi w swoim sercu coś przeciw drugiemu, jakże u Pana szukać będzie uzdrowienia.*

---

\* Julian Tuwim, *Modlitwa*

Małgorzata Orzeł

# ZAKŁAD NARODOWY im. OSSOLIŃSKICH

Instytucja stworzona przez J.M. Ossolińskiego, darami Polaków  
stojąca, nauce i kulturze polskiej służąca, 1817–2017

Zakład Narodowy im. Ossolińskich od dwustu lat pełni służbę narodową. W historii polskiej kultury nie ma drugiej takiej instytucji, która w sposób praktycznie nieprzerwany, poczynawszy od 1817 roku, mimo kataklizmów, zagrożeń, powstań, wojen, wreszcie prozaicznych kryzysów finansowych, gromadzi, udostępnia, chroni zabytki polskiego piśmiennictwa i historii. Dzięki takim instytucjom kultury jak *Ossolineum* i gromadzonym w nim pamiątkom możliwe było zachowanie ciągłości tradycji, utrzymanie tożsamości narodowej. Przez dwieście lat wokół Zakładu gromadzili się ludzie, którym idee jego założyciela – Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego (1748–1826) były bliskie w takim stopniu, że poświęcili im swoje zdolności i życie. Znamienny wydaje się fakt, że w swojej dwustu-letniej historii *Ossolineum* miało, poczynawszy od 1827 roku, trzynastu dyrektorów, a każdy z nich wniósł w budowanie wielkości tej instytucji znaczący wkład.

Wśród nich byli uczeni tej miary co prof. Mieczysław Gębarowicz, niezłomny *semper fidelis* *Ossolineum* we Lwowie w trudnych dla pozostałych we Lwowie Polaków latach 1945–1970; czy pełen poświęcenia w walce o odzyskanie podmiotowości *Ossolineum* wrocławskiego i odbudowywania jego pozycji dr Adolf Juzwenko, dyrektor Zakładu od 1990 roku. To samo odnosi się do kuratorów literackich i ekonomicznych, którzy swoją pracą, zaangażowaniem, wielką mądrością i hojnością wspierali tę instytucję, poczynawszy od pierwszego kuratora literackiego księcia Henryka Lubomirskiego (1823) po współczesną,

utworzoną po 1995 roku, Radę Kuratorów, w której skład wchodzi znakomici uczeni, politycy, wielcy Polacy tej miary, co nieżyjący już Jan Nowak Jeziorański czy Władysław Bartoszewski.

Jeżeli mimo niekorzystnego przebiegu polskiej historii, powstaniowych klęsk i wojen Polacy nie utracili jedności i mogli utworzyć nową rzeczywistość polityczną w 1918 roku, ponownie odzyskać ją po roku 1989, to niewątpliwie przyczynili się do tego ludzie nauki i kultury i tu swój ogromny udział ma *Ossolineum*.

Nie byłoby jednak tej placówki, gdyby nie *sui generis* „idée fixe” hrabiego J.M. Ossolińskiego, uczonego, bibliofila, kolekcjonera, człowieka, uporczywie i nieustępliwie dążącego do powołania polskiej placówki biblioteczno-muzealnej, która miała gromadzić, chronić i udostępniać badaczom polskiego języka historii i literatury dzieła twórców narodowych. W dobie utraty państwowości, zagrożenia całkowitym unicestwieniem narodu polskiego i jego kultury (a w historii Europy są przykłady upadku narodów), myśl Ossolińskiego, by ocalić i przekazać następnym pokoleniom to, co stanowi o intelektualnym



5 czerwca 2017, wernisaż wystawy jubileuszowej. Stoją od lewej: wicepremier prof. dr hab. Piotr Gilński, dyr. ZNIO dr Adolf Juzwenko i kurator ekspozycji dr Łukasz Koniarek. Fot. Andrzej Niedźwiedzi

potencjale nacji, wydaje się być jedynym, koniecznym rozwiązaniem.

Ród Ossolińskiego, mający wśród swoich antenatów: kasztelanów, kanclerzy, wojewodów i senatorów, znany był ze swojej wierności wobec Rzeczypospolitej. Nie inaczej było z J.M. Ossolińskim, wychowankiem warszawskiego jezuickiego Collegium Nobilium w l. 1762–1771, którego postawę patriotyczną i intelektualną kształtowali wybitni uczeni polskiego Oświecenia: Adam Naruszewicz, Karol Wyrwicz, Jan Albertrandi. To dzięki nim Ossoliński rozwijał swoje talenty jako tłumacz, pisał powieści, bajki, publikując swoje utwory w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych”. Prace badawcze prowadził m.in. w Bibliotece Załuskiego. Był świadkiem rozbiorów i ostatecznego upadku I Rzeczypospolitej. Z obawy przed utratą tożsamości narodowej Polaków, z troski o przyszłość narodziła się idea stworzenia fundacji, która składać się miała z biblioteki, muzeum i drukarni, przekształconej później w wydawnictwo. Ta trójczłonowa, nowoczesnie pomyślana instytucja, aby móc prowadzić działalność, została przez założyciela obdarowana wszystkimi jego kolekcjami: rękopisami, książkami, mapami, numizmatami oraz muzealiami oraz całym jego majątkiem, co dało placówce bezpieczeństwo finansowe.

Ossoliński długo zastanawiał się nad wyborem miejsca na siedzibę Zakładu. Pod uwagę brał takie miasta jak Zamość, Tarnów, Kraków. Ostatecznie jednak jego wybór padł na Lwów, gdzie cesarz Franciszek I w roku 1817 odnowił działalność uniwersytetu, jako uczelni austriackiej, z niemieckim językiem wykładowym. To wsparciu katedry języka polskiego i historii literatury miało służyć powołane do życia *Ossolineum*, na którego działalność Franciszek I wyraził zgodę 4 czerwca 1817 roku. Dzień ten stał się początkiem dwustuletniej działalności ZNiO.

Od początku swego istnienia, od wielkiego daru założyciela Zakład Narodowy opierał się o patriotyczną ofiarność Polaków. Idąc za przykładem fundatora, do dzieła tego przyłączali się Polacy, składając w Zakładzie swoje kolekcje, wspierając go swoim majątkiem. Pierwszym z nich był książę Henryk Lubomirski, z którym J.M. Ossoliński 25 grudnia 1823 roku zawarł układ, na mocy którego w skład *Ossolineum* miało wejść Muzeum Lubomirskich.

Dalekosiężne plany Ossolińskiego, który za wszelką cenę pragnął zapewnić powołanej przez siebie instytucji ciągłość działania i finansowe bezpieczeństwo, spowodowały, że dla realizacji swoich celów postanowił zdobyć poparcie polskich elit, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że stałe utrzymanie mogą zapewnić środki płynące od jak najliczniejszego grona ofiarodawców.

Dzięki układowi z księciem Henrykiem Lubomirskim do *Ossolineum* wpłynęły bezcenne kolekcje muzealne, malarstwo, miniatury, rzeźby, militaria. W zawartym porozumieniu ustalono, że część przyszłej siedziby Zakładu zostanie przystosowana na przyjęcie tej kolekcji i nosić będzie imię *Musaei Lubomirciani*. Postanowiono również oddać rodowi Lubomirskich zwierchnictwo nad fundacją, powierzając kuratorię literacką.

Na potrzeby Zakładu J.M. Ossoliński nabył budynki poklasztorne siostr karmelitanek. Zrujnowany praktycznie gmach został poddany gruntownej przebudowie dostosowującej go do nowych funkcji muzealno-bibliotecznych. Prace te prowadził inżynier Józef Bem, przyszły generał i bohater węgierskiej Wiosny Ludów.

J.M. Ossoliński nie doczekał zakończenia przebudowy, zmarł w 1826 roku w Wiedniu. W rok po jego śmierci, zgodnie z jego ostatnią wolą, wszystkie ofiarowane kolekcje zostały przewiezione do Lwowa i tu w 1827 roku Zakład Narodowy rozpoczął swoją działalność, prowadząc ją, w zmieniających się warunkach politycznych, aż do roku 1945.

W wyniku drugiej wojny światowej i przesunięcia granic w kierunku zachodnim Lwów przestał być polskim miastem. Znaczna część jego mieszkańców, a także ludności Małopolski Wschodniej musiała opuścić miejsce swojego urodzenia. Przewieziono ich na tzw. Ziemię Odzyskane. Wśród wypędzonych znalazło się lwowskie środowisko naukowe. Ucnieni Uniwersytetu Lwowskiego, Politechniki Lwowskiej przybyli m.in. do Wrocławia i tu rozpoczęli dzieło polonizacji uczelni wrocławskich. To ich postawie wrocławianie zawdzięczają umieszczenie w tym mieście zbiorów dawnego lwowskiego *Ossolineum*. Na siedzibę Zakładu we Wrocławiu wybrano zespół barokowych budynków poklasztornych, położonych w kwadracie między ulicą Szewską, Grodzką i Placem Biskupa Nankiera, zakonu szpitalników, Ka-



walerów Mieczowych z Czerwoną Gwiazdą, w którym *Ossolineum* mieści się do dziś. Kwitnąca, rozrastająca się placówka, powiększona ostatnio o Muzeum Pana Tadeusza, z siedzibą w Kamienicy Pod Złotym Słońcem (Rynek 6) oraz zespół budynków mieszczących Dział Czasopism i Dokumentów Życia Społecznego przy ul. Sołtysowickiej, stanowi dumę tego miasta, które uroczyście obchodziło dwusetlecie jej działalności.

Obchodom tym warto poświęcić uwagę choćby ze względu na to, że stulecie *Ossolineum* przypadło w roku 1917, jeszcze w czasie trwania pierwszej wojny światowej. Okoliczności te sprawiły, że uroczystości obchodzono bardzo skromnie, obchody stulecia rozpoczęcia działalności *Ossolineum* we Lwowie przeniesiono zaś na rok 1928. Uroczystości dwusetlecia, przypadające w 2017 roku, obchodzono już we Wrocławiu.

*Ossolineum* przygotowywało się do tych obchodów od kilku lat. Odbływały się one pod wysokim patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, który wraz z małżonką Agatą Kornhauser-Dudą zaszczylił swoją obecnością uroczystą Galę, urządzoną w gmachu Opery Wrocławskiej 5 czerwca 2017 roku. Oprócz Pary Prezydenckiej na Gali obecni byli m.in.: wicepremier i minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. dr hab. Piotr Gliński, prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz wraz z małżonką, wojewoda dolnośląski Paweł Hreniak, przedstawiciele świata kultury i nauki polskiej, wyznań religijnych na czele z kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem, rektorzy, dyrektorzy placówek bibliotecznych i muzealnych w Polsce. W części oficjalnej przemawiali: Prezydent RP Andrzej Duda oraz m.in. wicepremier prof. dr hab. Piotr Gliński, prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz, wojewoda dolnośląski Paweł Hreniak, przewodniczący Rady Kuratorów prof. dr hab. Jerzy Zdrada oraz dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich dr Adolf Juzwenko. Mówcy podkreślali znaczenie i rolę *Ossolineum* w kulturze polskiej, jej historię oraz współczesny rozkwit. Wszystkie przemówienia zostały gorąco przyjęte przez licznie zgromadzoną na Gali publiczność. Po części oficjal-



nej zaprezentowano program artystyczny, na który złożyły się m.in. utwory Moniuszki i Szymanowskiego. Na Galę obowiązywały imienne zaproszenia.

W tym samym dniu otwarto wystawę *200 lat Ossolineum. 1817–2017*, która czynna była do końca listopada 2017 roku. Na wystawie tej zgromadzono wiele cennych obiektów, m.in. dokumenty z Archiwum *Ossolineum* dotyczące jego powstania i historii, w wyborze zaprezentowano najcenniejsze kolekcje Zakładu. Znalazły się na niej także obiekty będące obecnie w posiadaniu Biblioteki im. Stefanyka we Lwowie oraz lwowskich muzeów. Na ekspozycji zaprezentowano m.in. sylwetki znakomych postaci związanych z *Ossolineum*, kolejnych dyrektorów: ks. Franciszka Siarczyńskiego (dyrektora w latach 1827–1829), Konstantego Stotwińskiego (1831–1834), Adama Kłodzińskiego (1839–1849), Augusta Bielowskiego (1850–1876), Wojciecha Kętrzyńskiego (1876–1918), Ludwika Bernackiego (1918–1939), Mieczysława Gębarowicza (1941–1946), Antoniego Knota (1947–1949), Eugeniusza Szlapaka (1949–1953 i 1953–1958), Franciszka Pajęczkowskiego (1960–1970), Janusza Albina (1970–1990), Adolfa Juzwenki, dyrektora od 1990 r.; wybitnych kuratorów i pracowników. Pokazano unikatowe obiekty rękopiśmienne, rysunki, numizmaty, grafikę, miniatury i malarstwo. Ogółem na wystawie zgromadzono ponad 600 obiektów. Kuratorami ekspozycji byli pracownicy Zakładu Narodowego im. Ossolińskich: dr Marta Pękalska, kierownik Działu Informacji Naukowej, i dr Łukasz Koniarek, kierownik Działu Numizmatycznego. Wystawie towarzyszył druk okolicznościowy,

5 czerwca 2017, uroczysta gala w Operze Wrocławskiej, siedzą od lewej: wicepremier prof. dr hab. Piotr Gliński, małżonka Prezydenta RP Agata Kornhauser-Duda, Prezydent RP Andrzej Duda, dyr. ZNIO dr Adolf Juzwenko, małżonka dyrektora ZNIO prof. dr hab. Krystyna Orzechowska-Juzwenko; w rzędzie drugim jego eminenja ks. kardynał Henryk Gulbinowicz. Fot. Andrzej Solnica

w którym znalazły się teksty poświęcone historii i współczesności *Ossolineum* – pióra znakomitych historyków: prof. dr. hab. Jerzego Zdrady, prof. dr. hab. Macieja Matwijowa i prof. dr. hab. Jakuba Tyszkiewicza.

Przygotowano również dwie wystawy planszowe, plenerowe: *Zapamiętane, zapomniane... Wystawy ossolińskie w zbiorach Dokumentów Życia Społecznego*, ekspozycja w ossolińskim Ogrodzie Barokowym, oraz *200 lat Ossolineum. Letteris et Artibus. Zakład Narodowy im. Ossolińskich (1817–2017)*, która ma charakter objazdowy: czerwiec 2017 – czerwiec 2018 i prezentowana jest w wybranych placówkach w kraju i za granicą.

Okolicznościowe wystawy zostały przygotowane również przez stronę ukraińską. Biblioteka Stefanyka prezentowała od czerwca do października 2017 roku historyczne kolekcje dawnego *Ossolineum*, obecnie znajdujące się w zbiorach tej biblioteki. Wystawę obrazów z kolekcji dawnego Muzeum Lubomirskich przygotowała także Lwowska Narodowa Galeria Obrazów. Kuratorem tej ekspozycji jest Igor Chomyn, kustosz Galerii, a prezentowana była ona we Lwowie od czerwca 2017 do stycznia 2018 roku, następnie od 21 lutego 2018 roku pokazywana będzie w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich. Składają się na nią sześćdziesiąt cztery obrazy, w tym znakomitości polskich.

W dniach 18–20 października 2017 roku odbyła się trzydniowa konferencja naukowa, w której wzięło udział sześćdziesięciu prelegentów, uczonych z kraju i zagranicy. Na konferencji podejmowane były wielorakie aspekty historii i działalności polskich placówek kulturalnych, z uwypukleniem dzie-

jów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, historii kultury, praktyki bibliotekarskiej i muzealnej, kolekcjonerów i kolekcjonerstwa. Materiały pokonferencyjne ukażą się pod koniec 2018 roku. Tom zawierać będzie niemal wszystkie wystąpienia.

Trwałym śladem po wrocławskich obchodach dwusetlecia *Ossolineum* będą niewątpliwie wydawnictwa jubileuszowe. Ukazało się ich w 2017 roku wiele, w tym cztery wydane przez ZNiO, a wśród nich druk okolicznościowy towarzyszący wystawie. Niezwykle ciekawa pozycja poświęcona została wspomnieniom o kustoszu Romanie Aftanazym, autorze pomnikowych *Dziejów rezydencji*. Na tom zatytułowany: *Kustosz i samotnik*, powstały pod redakcją Adolfa Juzwenki, składają się: szkic biograficzny pióra Macieja Matwijowa, *Pamiętnik lwowski kustosza Romana Aftanazego* w opracowaniu Agnieszki Knychalskiej, wybór listów Aftanazego w opracowaniu Macieja Matwijowa oraz szkice wspomnieniowe: Jana Kolasy, Ewy Świerzawskiej-Biegun, Teresy Wawrzyniakowej, Jana Dowgiałły, Andrzeja J. Baranowskiego, Stanisława Mossakowskiego. Książkę w starannej szacie graficznej wydało Wydawnictwo Ossolineum.

Cenną pozycję stanowi także książka pod redakcją Marty Pękalskiej i Alicji Mitki zatytułowana *Jubileusze Ossolineum. Antologia tekstów*. Jak pisze Marta Pękalska we wstępie do antologii: *Dwusetlecie ufundowania Zakładu Narodowego im. Ossolińskich to znakomita okazja do przypomnienia wybranych tekstów publikowanych drukiem przy okazji kolejnych jubileuszy Zakładu, począwszy do 1917 roku.[...] Antologia została podzielona na siedem części, poświęconych kolejnym jubileuszom Zakładu Narodowego. Na kartach tytułowych każdego rozdziału podajemy najważniejsze informacje dotyczące funkcjonowania Zakładu w danym roku (m.in. liczbę pracowników, wielkość zbiorów czy liczbę czytelników), co w najprostszym sposobie zobrazuje zmiany zachodzące w Zakładzie. [...] jubileuszem obchodzonym szczególnie uroczysto było 150-lecie Zakładu świętowane w roku 1967. Częścią tych obchodów była konferencja naukowa i wystawa, opublikowano osiem książek jubileuszowych poświęconych dziejom i współczesności Zakładu. [...] podobnie jak w roku 1928 w prasie, głównie polskiej, ukazało się*





kilkaset artykułów. Książkę w pięknej grafice wydało także Wydawnictwo Ossolineum.

Zdecydowanie jednak najbardziej istotną pozycją, która ukazała się w roku dwusetlecia *Ossolinem*, jest *Księga darczyńców* pod redakcją Marty Pękalskiej. Starannie przygotowany przez Wydawnictwo *Ossolinem* tom, w pięknej graficznie, granatowej płóciennej twardej oprawie, zawiera dwieście sześćdziesiąt biogramów darczyńców *Ossolinem*, wybranych z prowadzonej przez *Ossolinem* bazy darczyńców, która zawiera ponad 6 tysięcy rekordów. Baza ta jest stale uzupełniana, bowiem *Ossolinem*, od czasów pierwszych fundatorów J.M. Ossolińskiego i H. Lubomirskiego, stoi darami. Jak wielkie są to dary, także płynące z serca i głębokiego przywiązania do instytucji stworzonej z uміłowania ksiąg i głębokiego patriotyzmu, służącej narodowi, świadczy właśnie ta książka. *Verba docent, exempla trahunt* (Słowa uczą, przykłady pociągają – przyp. red.), ta maksyma znakomicie oddaje to, co uwidocznione zostało w *Księdze darczyńców*. Za przykładem wielkich twórców Zakładu Narodowego im. Ossolińskich poszło wielu znakomitych Polaków, którzy podarowali Narodowi, za pośrednictwem *Ossolinem*, swoje kolekcje lub majątki.

Odnotowywanie darów na rzecz Zakładu rozpoczął jego pierwszy dyrektor ks. Franciszek Siarczyński. *Pamiętnik darów obywatelskich dla księgozbioru narodowego* (BZ-NiO, rkps. 1298/II, 1299/III) obejmującego lata 1827–1848, którego uzupełnieniem jest *Pamiętnik założenia i uposażenia biblioteki publicznej imienia hrabiów Ossolińskich we Lwowie ku zachowaniu imion osób dobroczynnych, które darami lub pracami uczonymi do wzrostu lub do zachowania tegoż instytutu przyczynić się raczyły w 1824 r.* (BZ-NiO, rkps. 1314/III). Jest to najlepiej od strony donacyjnej udokumentowany okres w historii Zakładu. Od 1848 roku nie kontynuowano jednak *Pamiętnika*, a dokumentacja tego procesu znajdująca się w Archiwum *Ossolinem* przechowywana jest obecnie w Bibliotece Stefanyka we Lwowie, co przez wiele lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, utrudniało wielce prowadzenie prac badawczych w tym zakresie. Trudność dodatkową stanowił fakt, że w latach 1939–1945 zbiory wielokrotnie zmieniały swoją przynależność, w efekcie przynosząc w 1946 roku



rozdarcie kolekcji pomiędzy Lwów i Wrocław. Na początku XXI w. we wrocławskim *Ossolinem* podjęto decyzję o stworzeniu bazy darczyńców, stale uzupełnianej, której celem było wydanie *Księgi darczyńców* w roku jubileuszowym dwusetlecia. Prace prowadziły 44 osoby z różnych działów *Ossolinem*, a trwały one od połowy 2013 do końca 2015 roku. Nie sposób jednak było uhonorować w druku wszystkich ponad sześciu tysięcy ofiarodawców, dlatego z konieczności dokonano tak rygorystycznego doboru. Niech jednak nie będą zawiedzeni wszyscy, którzy przekazali do *Ossolinem* swoje dary, bowiem ich nazwisko i biogram figurują w bazie, a jeżeli się tam jeszcze nie znalazły, to z pewnością będą tam umieszczone w najbliższej przyszłości. To przewaga jaką ma elektronika nad drukiem. *Ossolinem* w ten sposób pragnie podziękować i uhonorować wszystkie osoby i instytucje, które przez dwieście lat wspierały jej działalność, idąc za przykładem wielkich Założycieli. Można śmiało powiedzieć, że instytucja ta cieszyła się i cieszy wielkim zaufaniem społecznym, a budujemy ją wszyscy, kontynuując dzieło Ossolińskiego i Lubomirskich.

---

MAŁGORZATA ORZEŁ, absolwentka filologii polskiej i Studium Podyplomowego Informatyki Naukowej i Bibliotekoznawstwa UW. Od 1982 pracuje w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich. Od 2015 – kustosz rękopisu *Pana Tadeusza*, kierownik Działu Historii i Interpretacji *Pana Tadeusza*, MPT. 2001–2013 – dyrektor Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, obecnie członek Zarządu (jako wolontariusz). 1998–2016 – członek redakcji, następnie sekretarz redakcji „Rocznika Wrocławskiego”. Autorka scenariuszy wystaw, artykułów i katalogów, kuratorka ekspozycji Ossolińskich.

---

# Prometeizm wczoraj i dziś

## Kto zapomina historię – powtarza ją

Referat wygłoszony został podczas Zjazdu Tarnopolan w Krakowie w 2017 r.

*Rzecz ciekawa, kiedy nasze zabiegi szły w kierunku urobienia ukraińskiego obywatela państwa, otrzymaliśmy w wyniku albo komunistów (krzemieniecka afera wykrycia wśród uczniów ukraińskich zakładania komunistycznych jacejek), albo nacjonalistów, szowinistów, tchnących do Polski nienawiścią<sup>1</sup>.*

Rozważania moje są próbą refleksji nad polityką wschodnią prowadzoną przez kolejne polskie elity po roku 1989. Na naszych oczach dochodzi bowiem do ponownego lansowania i uzasadniania przez sporą rzeszę polityków polskich przedwojennej idei prometeizmu. Podobnie jak w II Rzeczypospolitej odbywa się to niestety kosztem polskości i kosztem narażania na wielkie niebezpieczeństwo własnego narodu.

Rodzi to arcyważne dla Polaków pytania o cele, metody i granice angażowania się Rzeczypospolitej w proukraińskie i antyrojskie przedsięwzięcia w regionie.

Chcę, aby był to mój głos w dyskusji o polskiej racji stanu, wezwanie do tej choćby odrobiny narodowego egoizmu niezbędnego w tych trudnych i skomplikowanych czasach.

Już raz w 20-leciu międzywojennym uwierzyliśmy, że przy pomocy Ukraińców odsuniemy i zneutralizujemy Rosję – ba, to nie tylko Abhwera i gestapo szkolili przyszłych dowódców siekierników – ale także Polacy w swej dobrej wierze w ośrodkach II Oddziału Sztabu Generalnego. Teraz wracamy do tego samego sposobu myślenia. To ciągle wpychanie się ze swoimi deklaracjami naprawdę nie ma żadnego znaczenia – Ukraińcy wybiorą tak, jak im będzie pasowało, a z naszym zdaniem liczyć się będą na końcu. Gdy tylko będzie to dla nich korzystne, i tak ponad naszymi głowami – jak to już zresztą czynią – porozumieją się

z Rosją czy Niemcami – bo jak nigdy nie jest to już świat polityki, tylko kapitału.

Koncepcja federacyjna Marszałka Piłsudskiego, która częściowo wyewoluowała potem w prometeizm, była na pewnym etapie naszego dochodzenia do wolności sensowną odpowiedzią na moskiewski ekspansjonizm.

Idea prometejska narodziła się na początku lat dwudziestych w Oddziale II Sztabu Generalnego oraz w Wydziale Wschodnim Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Piłsudski, który wycofał się wprawdzie z polityki w 1922 roku, zachowywał znaczny wpływ na te instytucje. Na początku lat dwudziestych roztoczył opiekę nad emigrantami – przywódcami narodów nierosyjskich (Tatarów krymskich, Gruzinów, Ukraińców). Gościł ich nawet w swojej prywatnej rezydencji i skontaktował ze swymi zaufanymi współpracownikami<sup>2</sup>.

Obawiający się Rosji Piłsudski od początku postanowił realizować program mający na celu jej rozczłonkowanie i odsunięcie od granic polskich. Miało to być stworzenie nowej politycznej organizacji – obszaru tzw. międzymorza, ciągnącego się od Bałtyku aż po Morze Czarne. Początku urzeczywistnienia tej koncepcji wielu autorów upatruje w sprawie wileńskiej z kwietnia 1919 roku. Po zażegnaniu groźby wybuchu wojny polsko-niemieckiej Naczelnik Państwa poprowadził ofensywę w Galicji Wschodniej, uzyskując wspólną granicę z Rumunią. W maju i czerwcu odbywał rozmowy z niepodległościowymi działaczami białoruskimi, w lipcu wysłał na

<sup>1</sup> Fragment dokumentu pt. *Dość eksperymentów z krwią polską*, z archiwum Z. Nowosada, CA MSWiA, zespół SN, t. 439.

<sup>2</sup> T. Snyder, Henryk Józewski..., s. 71. Szerzej na ten temat: Wiszka E., *Emigracja ukraińska w Polsce 1920–1939*, Toruń 2004; Rezmer W., *Polsko-ukraińskie stosunki wojskowe w świetle prac seminarium historycznego „Polska–Ukraina: trudne pytania”*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” nr 1 (211), Warszawa 2006; Krotofil M., *Ukraińcy w Wojsku Polskim w okresie międzywojennym*, [w:] *Mniejszości narodowe i wyznaniowe w siłach zbrojnych Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939*, Z. Karpus, W. Rezmer (red.), Toruń 2001.

Łotwę swego emisariusza, Władysława Sołtana. Jednak istnienie dwóch rządów ukraińskich oraz toczące się od listopada 1918 roku walki o Lwów poważnie skomplikowały plany Piłsudskiego wciągnięcia Ukrainy do zamýsłanego przedsięwzięcia. Sytuacja, która wkrótce wytworzyła się na Litwie (niechęć do jakichkolwiek form współpracy), Łotwie i Ukrainie, zmusiła go do korekty założeń. We wrześniu 1919 roku podpisano pierwsze porozumienie polsko-ukraińskie uznające granicę między obu państwami na rzece Zbrucz. W ten sposób porozumienie z Ukraińską Republiką Ludową reprezentowaną przez Semena Petlurę stało się faktem.

Rozpoczęta 3 kwietnia 1920 roku ofensywa kijowska była, zdaniem wielu, kolejnym etapem realizacji szerokiej wizji Naczelnika. Jednak dojście Armii Czerwonej aż pod Warszawę i konieczność podpisania traktatu ryskiego rozwiły złudzenia co do uniknięcia wspólnej granicy z Rosją sowiecką. Próbowano wprawdzie w miejsce Ukrainy umieścić Rumunię, ale niepowodzenia w kontaktach z państwami bałtyckimi i wydarzenia roku 1925 ostatecznie pogrzebały szanse na realizację szerokiej koncepcji „międzymorza”. Było to tym bardziej dotkliwe, że od tegoż roku również Francja zaczęła rozluźniać kontakty z Polską i wycyfywać się ze zobowiązań sojuszniczych.

Wydawać by się mogło, że wraz z upadkiem tych zamierzeń nastąpi refleksja dotycząca korzystnego zagospodarowania tego, co udało się uzyskać, czyli uporządkowania spraw wewnętrznych. A było to nie lada wyzwanie w państwie, w którym 30% mieszkańców stanowiły mniejszości narodowe – z reguły wrogie nowo powstałemu organizmowi państwowemu. Wydaje się, że poszukiwanie sprawiedliwego i pokojowego rozwiązania kwestii lwowskiej w ówczesnych warunkach i nastrojach (rok 1918) było *wiarą w możliwość urzeczywistnienia utopii*<sup>3</sup>.

Niewątpliwie zastąpienie nośnej idei komunistycznej – nacjonalistyczną, to burzenie szyków naszemu odwiecznemu ciemnościelowi. Jednak dobra chwila na realizację tej koncepcji minęła szybko – komunizm stracił na swej uwodzicielskiej mocy, kiedy reszta Europy uświadomiła sobie, że w Związku Sowieckim zabija się ludzi na skalę masową, niszczy się kulturę i cywilizację. Od po-

czątku lat trzydziestych nastąpił więc zwrot w polityce międzynarodowej. Przejęcie władzy przez faszystów w Niemczech i innych krajach zmieniło sytuację. W kraju zaczęło dochodzić do gwałtownego radykalizowania się postaw ukraińskich żywiących się triumfami faszystów. Jednak elity władzy zmiany owej reorientacji jakby nie zauważały. Konsekwencje były z latami coraz poważniejsze.

*Ruch prometejski był międzynarodówką antykomunistyczną, której celem było zniszczenie Związku Radzieckiego i przekształcenie jego republik w niepodległe państwa*<sup>4</sup>. Oznaczało to w praktyce skupienie się na Sowietach z całkowitym niemal zlekceważeniem zagrożeń płynących ze strony Niemiec oraz terroryzmu skrajnych ukraińskich organizacji nacjonalistycznych. Jakby tego było mało, sugeruję, że kręgi skupione wokół Piłsudskiego świadomie rezygnowały z neutralizowania ukraińskiego szowinizmu, bo był przydatny do walki z komunizmem. Świadczy o tym choćby zdanie: *Do roku 1928 Warszawie udawało się wykorzystywać ukraińską kwestię narodową i skierować ją przeciwko Związkowi Radzieckiemu*.

Polityka prowadzona przez Piłsudskiego i jego współpracowników, być może teoretycznie uzasadniona, w praktyce okazała się wkrótce szkodliwa, a nawet zabójcza dla polskiej ludności, która pozostała za Zbruczem. Komuniści wykorzystali bowiem polskie działania szpiegowskie na Ukrainie sowieckiej do rozprawienia się z Polakami<sup>5</sup>.

Jednym z filarów realizacji idei prometejskiej była ścisła współpraca z byłymi przedstawicielami władz URL (Ukraińskiej Republiki Ludowej) z Petlurą na czele, a po jego śmierci w zamachu – wprowadzenie w życie sojuszu polsko-ukraińskiego rozumianego nie tylko jako współpracę polityczną, ale i wojskową. Emigranci ukraińscy z URL zostali przyjęci gościnnie. Sam Józewski udzielał wszechstronnej pomocy Petlurze i jego rodzinie, wyasygnowano pomoc finansową dla przywódców ukraińskich i byłych urzędników z Ukraińskiej Republiki Ludowej, dla których powołano w 1921 roku Ukraiński Komitet Centralny<sup>6</sup>. T. Snyder opisuje, jak

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 70.

<sup>5</sup> *Ibidem*, rozdział 6. *Terror przeciwko Polakom*, s. 160–181, i inne.

<sup>6</sup> T. Snyder, *Henryk Józewski...*, s. 42.

<sup>3</sup> J. Brzoza, *Polski rok 1919*, Londyn 1988. s. 87.

wygłądały dalsze etapy współpracy: *Po zamachu na Petlurę [25 maja 1926 – L.K.] Hołótko nadal wdrażał plan odbudowy sojuszu polsko-ukraińskiego. Współpraca polityczna obejmowała tajną współpracę wojskową. W skład polskiej armii weszło ok. trzydziestu pięciu Ukraińców na stanowiskach oficerów kontraktowych. W ścisłej tajemnicy 28 lutego 1927 odtworzono na terytorium Polski armię Ukraińskiej Republiki Ludowej. Najważniejszymi celami ukraińskiego Sztabu Generalnego były szybka rekrutacja i szkolenie sił zbrojnych oraz stworzenie na sowieckiej Ukrainie warunków sprzyjających interwencji z zewnątrz...*

Niestety akcja zaczepna prowadzona przez ludzi Piłsudskiego spowodowała niewyobrażalnie tragiczne konsekwencje dla polskiej ludności, która pozostała na terenie Ukrainy sowieckiej. Nie ukrywa tego Snyder, ale w imię antykomunistycznej krucjaty wydaje się to bez zastrzeżeń akceptować<sup>7</sup>.

Tymczasem ukraińscy emigranci wojskowi nie asymilowali się i nie włączali w nurt polskiego życia społecznego. Nie uczyli dzieci języka polskiego – posyłali je jedynie do szkół ukraińskich, pracowali w instytucjach ukraińskich w zupełnym oderwaniu od spraw polskich. Ci, którzy przedostali się za sowiecką granicę, z reguły ulegali przewerbowaniu. Taki stan przetrwał do roku 1939, a wraz z nim wiara, umacniana przez Polaków przez lata, że jedynym możliwym rozwiązaniem dla Ukraińców jest konflikt zbrojny – totalny i prowadzony do końca. Nadzieja, że dzięki polskiej pomocy emigracja ukraińska zrezygnuje z antypolskich dążeń w odniesieniu do województw południowo-wschodnich, a koncentrować się będzie jedynie na planach odbudowy państwa naddnieprzańskiego, nie sprawdziła się. Wojna pokazała to dobitnie. Ukraińska „rewolucja narodowa” miała być skierowana przeciw Rosji, a została bez skrpułów zwrócona przeciw Polsce.

Osobną, poważną i mało znaną sprawą było paramilitarne szkolenie młodzieży ukraińskiej popierane przez władze, głównie w masowych organizacjach „Łuh” i „Sokił”. Tajnym celem miało być przygotowanie ukraińskiej młodzieży do „odwojowania” z rąk sowieckich Ukrainy Kijowskiej, tzw. Wielkiej Ukrainy. Także i to przedsięwzięcie „prome-

tejczyków” było tyleż kontrowersyjne, co brzemienne w konsekwencje.

Tylko w legalnej organizacji „Łuh” przeszkolono wojskowo co najmniej 50 tysięcy młodych Ukraińców. Oficjalnie Towarzystwo Gimnastyczno-Pożarnicze, działające głównie na terenach Polski południowo-wschodniej, „Łuh” posiadał w 1927 roku 627 oddziałów terenowych. Tymczasem, podobnie jak pozostałe, od początku był infiltrowany przez terrorystyczne UWO i OUN. Legalne organizacje młodzieżowe stały się więc kuźnią kadr antypolskich. Oślanianie ich przez władze państwowe tajnym parasolem ochronnym budzi grozę. Dokumenty i raporty KOP kierowane do władz zwierzchnich, dotyczące prawdziwego oblicza działalności ukraińskich organizacji młodzieżowych, nie pozostawiają złudzeń co do charakteru ich poczynań<sup>8</sup>. Znajdujemy informacje, że te legalne organizacje w rzeczywistości stanowiły zaplecze UWO i prowadzono w nich werbowanie i szkolenie wojskowe członków tej terrorystycznej organizacji. Instruktorami byli tam zaprzysiężeni „na śmierć” członkowie UWO<sup>9</sup>. Szkolili oni młodzież w musztrze formalnej i bojowej, prenumerowali nielegalne pismo „Surma”<sup>10</sup> i nakazywali jego lekturę członkom. Poza tym prowadzili szkoły walki i władania bronią, organizowali rejestrację członków, organizowali zbiórki pieniężne na „fundusz rewolucyjny”. Wszystkie szkolenia odbywały się przy drzwiach zamkniętych. Na narodowych obchodach oddziały występowały w zwartych szeregach, często umundurowane. Członkowie „Sokiła” nosili na kołnierzach mundurów znak SS – co miało oznaczać Strzelców Siczowych. Szeregi

<sup>8</sup> *Komunikaty Informacyjne Okresowe kierowane do Szefa Oddziału II Sztabu Głównego (Wydział III w Warszawie za 4 kwartały roku 1928), Komunikat Informacyjny Okresowy Dowódcy 4 Brygady KOP za czas 1 I – 31 III, KOP z Czortkowa (10 V 1928), Archiwum Straży Granicznej Szczecin (dalej ASG), zespół KOP (Korpus Ochrony Pogranicza, dalej KOP), sygn.541/105; Raport Informacyjny z powiatu skałackiego, ASG, zespół KOP, sygn.541/164.*

<sup>9</sup> *Raport Informacyjny z powiatu skałackiego, ASG, zespół KOP, sygn.541/164.*

<sup>10</sup> Nielegalne pismo wydawane przez przywódców Ukraińskiej Wojskowej Organizacji, a potem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów poza granicami Polski, na którego łamach publikowano treści antypolskie i instrukcje dla terrorystów.

<sup>7</sup> *Ibidem*, s. 160–181.

omawianych organizacji stale rosły, garnęła się do nich na przeszkolenie wojskowe niemal cała ukraińska młodzież – stały się modne. Prawie wszyscy byli umundurowani, bo po wsiach ruszyły specjalne warsztaty, które za minimalną opłatą szyły uniformy (UWO płaciła za te prace). Na obchodach oddziały występowały w szyku, pieszo i konno, ze specjalnymi toporkami-laskami z kokardkami w barwach narodowych. Po obchodach odbywały się defilady, na które ściągała okoliczna ludność. W jednej z wsi poproszono „łuhowców” o podpisanie deklaracji, że jako organizacje pożarnicze będą udzielać pomocy ratunkowej przy pożarach – władze zostały wydrwione, deklaracji nie podpisał nikt. Członkowie „Łuhu” namawiali też kolegów do dezercji i szpiegowania Polaków. Niejedna z takich spraw wyszła na światło dzienne<sup>11</sup>. Organizacja zamieniła się więc w zorganizowane masowe antypolskie bojówki. Poraża fakt, że władze o tym wiedziały i nie podejmowały żadnych działań. Nie tylko organa wywiadowcze, Policja Państwowa, lecz niemal wszyscy mieli świadomość, że w ten sposób UWO przygotowuje kadry do rozprawy z Polską. Wnioski o likwidację tych organizacji pozostawały bez reakcji mimo wystąpień do wojewodów. Stało się jasne, że organizacje te rozkwitły, bo były osłaniane przez władze zwierzchnie. Na skutki nie trzeba było długo czekać: agitacje, podpalenia polskich majątków i stert zboża, szczególnie w okresie obchodów 10-lecia państwa polskiego, pobicia. O faktach tych pisała często lokalna prasa, ale jej głosu w ogóle nie brano pod uwagę<sup>12</sup>. W roku 1936

usiłowano, w dużej mierze bezskutecznie, swawolę tę ukrócić, ale było już za późno.

Tak więc w Małopolsce Wschodniej wyszkolono za polskie pieniądze armię partyzancką zdolną do przekształcenia się w armię regularną i złożoną zarówno z emigrantów, jak i z młodzieży ukraińskiej, która nie chciała przepędzić, jak łudziły się władze, Rosjan z dalekiej Kijowszczyzny, ale Polaków z Lwowskiego, Tarnopolskiego i Stanisławowskiego. Zamiast oczekiwanych sojuszników, przygotowano i wyćwiczono śmiertelnych wrogów. Porównanie z niedawnymi działaniami USA w krajach islamskich nasuwa się wręcz samo. Podobnie jak naiwne przyjmowanie fal islamskich „uchodźców” do Europy. Może nie znali historii Polski?

Przykładem tego, jak dalece idea prometejska opanowała umysły części polskich elit może być cytat z artykułu pt. *Realizm i prometeizm*<sup>13</sup> z roku 1938! Autor jego pisał: *Obecny rozwój wydarzeń politycznych w Europie dowodzi że prometeizm jest wyrazem największego realizmu politycznego. Przynajmniej nie znam żadnej koncepcji politycznej, która by tak logicznie łączyła potrzeby poszczególnych narodów z potrzebami gospodarczego i politycznego rozwoju całej Europy. Żadna koncepcja „równowagi” politycznej nie może dać tego, co może dać koncepcja prometejska, a mianowicie uwolnić Europę od koszmarnego przekonania, iż wojna jest nieunikniona, co zmusza państwa do ogromnych zbrojeń, mogących się skończyć naprawdę tylko wojną. Prometeizm był może jedynym terenem, gdzie nie było*

<sup>11</sup> *Raport Informacyjny z powiatu skałackiego*, ASG, zespół KOP, sygn.541/164.

<sup>12</sup> Po kilku latach antypolskiej działalności „Łuhu” z pisma szefa wywiadu KOP mjr. Skindera do ministra spraw wojskowych dowiadujemy się, do jakich efektów doprowadziło tolerowanie narastającego szowinizmu ukraińskiego. We wsi Horoszowa pow. Borszczów zostało ciężko pobitych 3 polskich chłopców za to, że wracając do domu śpiewali polski hymn. Argumentem było że: „śmiań na ich ruskiej ziemi śpiewać po polsku”. Za napastnikami ruszył zaagitowany tłum z okrzykiem „bij i rznij kolonistów – lachów”. Ofiary skatowano bestialsko prawie na śmierć, drągami, widłami, kamieniami. 15 marca w miejscowości Barysz pow. Buczacz członkowie „Łuhu” koło świetlicy tej organizacji napadli na żołnierza, zadając mu

ciężkie ciosy kołem w głowę. 25 marca 1936 w miejscowości Ossowe pow. Buczacz członkowie „Łuhu” zmasakrowali do nieprzytomności dwóch żołnierzy polskich. Posterunkowy P.P. tuszował i utrudniał dochodzenie i radził wypisać sprawców z „Łuhu”, by władze go nie rozwiązały. 13 kwietnia pobito strzelca z 48 p.p. przebywającego na urlopie, ponieważ przyznawał się do polskości. W dokumentach znajdują się zdjęcia jego obrażeń. Miały również miejsce liczne przykłady wandalizmu i dywersji (niszczenie słupów telefonicznych KOP), pogroźki pod adresem przedstawicieli władz itp.

<sup>13</sup> „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, nr 16, 1938 rok. Autor M. Dańko. „Biuletyn Polsko-Ukraiński” to pismo ukrajinofilskie ukazujące się w Polsce w latach 1932–1938 pod cichym patronatem Oddziału II Sztabu Głównego.

rozdźwięków między Polakami i Ukraińcami. *Przeciw moskiewski front* [...].

Wstrząsające, że kiedy pisano te słowa, od lat w najlepsze szła hitlerowsko-ukraińska współpraca, która miała na zasadach V kolumny zapalić w razie wojny ogniem powstania całe wschodnie kresy Rzeczypospolitej.

Obóz Piłsudskiego, nie rozstając się z ideami odbudowy państwa ukraińskiego za Zbruczem, nie przewidział jakże prostego faktu, że wspierając czynniki niemające w konfrontacji ze stalinowskim aparatem przemocy żadnych szans, wzmacniał wyłącznie siły, które przyczynią się później nie tylko do unicestwienia władztwa państwa polskiego nad Kresami, ale w ogóle do fizycznego wyniszczenia ludności polskiej na tym terenie<sup>14</sup>. Wśród dowódców oddziałów prowadzących czystki ludności polskiej w czasie II wojny światowej aż się roilo od owych wyszkolonych przez Polaków oficerów i podoficerów.

### WOŁYŃSKI EKSPERYMENT HENRYKA JÓZEWSKIEGO I JEGO SKUTKI<sup>15</sup>

Józewski należał do kręgu osób (obejmującego też kobiety i Żydów) o poglądach kosmopolitycznych, pochodził z Ukrainy, miał talenty artystyczne, kierował się niezłomnym antykomunizmem i opowiadał za polityką pojednania z Ukraińcami. Do tego był liberałem i antyklerykałem kojarzonym z łozami wolnomularskimi. Takie atrybuty czynią z niego ideał, który można z dumą przeciwstawić ksenofobicznej kołtunerii emdeckiego ciemnogrodu.

Proponowane przez Józewskiego rozwiązania byłyby niewątpliwie (bo chodzi przecież o jak by nie było nasz krąg kulturowy) do zrealizowania w rozwiniętych demokracjach zachodniej Europy, ale na pewno nie na rubieżach wschodnich, które przez długi czas historii uznawały wyłącznie

silną i zdecydowaną władzę, w każdej innej widząc jedynie objaw słabości.

Podstawową przyczyną kontrowersji, ale dla przeciętnego zjadacza chleba, jest pytanie o cel działań Józewskiego. Dzięki dobremu zarządzaniu Wołyń miał stać się bogatą i nowoczesną dzielnicą POLSKI. Wołyń był przecież województwem w II RP. Każdy przedstawiciel rządu powinien postawić w takiej sytuacji na konsolidowanie takiej dzielnicy z resztą kraju przez język, poprzez szkoły, gdzie dokonuje się propanstwowe i patriotyczne kształtowanie przyszłych pokoleń – mimo wieloetniczności.

Tymczasem to, czego Józewski dokonywał przy pomocy swych petlurowskich współpracowników i co nazywał „modernizacją”, było w praktyce działaniem na rzecz zruszczenia i odłączenia Wołynia od Polski za pieniądze podatników. W tym sensie był to ewenement na skalę światową. Przy tym sam bynajmniej nie ukrywał, że jego celem nie jest scalenie Wołynia z Polską. Wręcz przeciwnie: dla niego „nowoczesne” oznaczało „wielonarodowe”<sup>16</sup>. Wskazuje to sposób myślenia również jego mocodawców.

Oświeceniowa wizja „propanstwowa”, opierająca się na ciągu ustępstw i koncesji na rzecz mniejszości narodowych, okazała się jednak w praktyce tyleż utopijna, co szkodliwa. Józewski nie przyjmował do wiadomości istnienia agresywnego i o niebo bardziej niebezpiecznego ukraińskiego szowinizmu, a tymczasem puste miejsce po osłabionym polskim władztwie nad tą dzielnicą wykorzystałi skrajni ukraińscy nacjonałści.

Co do szkodliwości tych działań autorka odwoła się do dokumentów z Centralnego Archiwum Wojskowego. Lektura tych materiałów nie pozostawia bowiem wątpliwości, że Józewski stał się grabarzem sprawy polskiej na Wołyniu. Wśród licznych dokumentów dotyczących stanu województwa pod rządami Józewskiego znajdziemy opracowanie pt. *Uwagi dotyczące polityki narodowościowej na Wołyniu*. Dowiadujemy się z niego o fatalnym administrowaniu Józewskiego, o nadużyciach kryminalnych, nasilaniu się ukraińskiego ruchu wywrotowego zarówno komunistycznego, jak i nacjonalistycznego. W wyniku działań wojewody zamiast zmaleć, wzrosło zagrożenie dywersją na wypadek

<sup>14</sup> T. Snyder, *Henryk Józewski...*, s. 37–40; 76–93 i inne.

<sup>15</sup> Szerzej na temat działalności Józewskiego Krasicki S., *Polityka wojewody Józewskiego na Wołyniu w świetle cyfr i faktów*, Stratyń 1939; Kęsik J., *Zaufany Komendanta. Biografia polityczna Jana Henryka Józewskiego 1892–1981*, Wrocław 1995; Mitzner P., *Milczenie Józewskiego*, „Karta” 1991, nr 5; Stawecki P., *Polityka wołyńska Henryka Józewskiego w świetle nieznananych źródeł z lat 1935–1936*, PW 1997, t. IV, z. 1 (13).

<sup>16</sup> *Ibidem*, s. 97.



wojny. Autorzy opracowania podnoszą, że tylko dzięki zmianie koniunktury międzynarodowej i zastosowaniu energicznych represji nie doszło do wybuchu planowanego przez ukraińskich nacjonalistów powstania zbrojnego. Opisywane w dokumencie wypadki mogły się wydarzyć, bo wołyńska administracja polityczna, skarbowa i samorządowa funkcjonowała wadliwie. Rażąco przykładem przytaczanym w opracowaniu była sytuacja w powiecie dubieńskim. Ludność tego powiatu – jednego z najbogatszych w Polsce (czarnoziemy) – ujawniła swoje sympatie prokomunistyczne i wrogość do polskiej państwowości. W wyniku śledztw okazało się, że sprowadzeni tam przez starostę (człowieka Józewskiego) – wójtowie-kryminaliści dopuszczali się wobec ludności strasznych nadużyć finansowych – tolerowanych przez administrację powiatową. Co gorsza, nieuczciwi administratorzy w celu ukrycia przestępstw szykanowali ludność i terroryzowali całe gminy. Liczne afery dotyczyły przemytu ludzi do Rosji sowieckiej<sup>17</sup>. Zamieszany w aferę Stefan Wasilewski, broniony do końca przez Józewskiego, po zwolnieniu ze służby mianowany został przez niego wicestarostą Łucka. Najbardziej dramatyczne były jednak nadużycia w Urzędzie Ziemi i administracji skarbowej. I tu fałszerzy akt i ksiąg wieczystych bronił Józewski. Podsumowując, pod rządami Józewskiego w województwie wołyńskim szalała korupcja, samowola, nadużycia. Praktykowano politykę przymusowego ukrainizowania miejscowej ludności. Działania te pokrywano ostantacyjną „lojalnością” kilkunastu działaczy, którzy – co gorsza – kazali sobie za to słono płacić. Przykładem takiej „lojalności” był przypadek biskupa Polikarpa, wielkiego przyjaciela Józewskiego, który powitany z honorami podczas wizytacji kanonicznej oburzył się na polską komendę i polskie przemówienie, a o godle państwowym – Orle – wyraził się: *ten piweń (kogut) tu całkiem niepotrzebny!*

<sup>17</sup> Była to sprawa dość tajemnicza, a część jej kulis ujawnia w swej książce T. Snyder. Całemu przedsięwzięciu patronował Wydział Bezpieczeństwa (z-ca nac. Wydziału Stefan Wasilewski) i Placówki Wywiadowczej Medyńskiego. Obserwatorów bulwersował fakt, że ludzie, którzy często jedynie pod pozorem organizowania wywiadu dla Polski uciekali do Sowieców, eskortowała do granicy policja.

W administracji Józewskiego nie zabrakło też ruso- i ukrajinofilów, z pochodzenia rdzennych Rosjan, których lojalność do państwowości polskiej była wątpliwa. Byli to naczelnicy wydziałów, referenci bezpieczeństwa, prezes Urzędu Ziemi. Jak wykazały późniejsze dochodzenia, prawie wszyscy z nich byli podejrzewani o szpiegostwo!

Zamiast „asymilacji” następowała jedynie dramatyczna ukrainizacja Wołynia. Większość znaczących towarzystw ukraińskich i Cerkiew dostały się pod wpływ antypaństwowe, głównie OUN. Tworzone za polskie pieniądze Wołyńskie Ukraińskie Objednanje i jego rozliczne przybudówki: Proświtańskie Chaty, Ridne Chaty, chóry, teatry – wszystkie zostały wkrótce opanowane przez OUN. W dziedzinie szkolnictwa i edukacji młodzieży też nastąpiło dramatyczne pogorszenie. Powołano trzy gimnazja ukraińskie: w Krzemieńcu, Łucku i Równem. W gimnazjach tych młodzież wychowywana była w duchu nacjonalistycznym, a zamiast postulowanej „asymilacji” dojrzewała uczestnicząc w Junactwie OUN. Dalszą edukację młodzież ta odbierała we Lwowie, skąd wracała na Wołyń przygotowana do samodzielnego zakładania jej komórek. W tym samym czasie społeczeństwo polskie, w tym najbardziej propaństwowy element – osadnicy wojskowi – pozostawieni zostali samym sobie, ba, nawet oni poddawani byli bezwzględnej ukrainizacji. Doszło do tego, że jeden z wołyńskich starostów mówiącemu do niego po polsku osadnikowi, publicznie zwrócił uwagę: *Czemu ne howoryte do mene w ridnim jazyci?*<sup>18</sup>

<sup>18</sup> Oto dane dotyczące narastania separatyzmu na Wołyniu:

OUN posiadała w 1934 roku ujawnionych:

- egzekutyw okręgowych: 2
- prowidów: 11
- komórek organizacyjnych: 100

Rozwój OUN na Wołyniu według statystyk Urzędu Wojewódzkiego w Łucku:

- 1930/31: 15 ośrodków, 56 członków
- 1932: 14 ośrodków, 73 członków
- 1933/34: 9 ośrodków, 762 członków
- 1935: 138 ośrodków, 790 członków

Dane te wskazują na dramatyczny wzrost organizacyjny ukraińskich nacjonalistów.

Dane dotyczące akcji antypaństwowej członków OUN i jej przybudówek od 14 marca do 7 lipca 1935:

Ogólna ilość wystąpień ze strony członków OUN i KPZU z przybudówkami wynosiła 367. W walkach z terrorystami w okresie 3,5 miesiąca zginęło 4 policjantów, jeden ciężko ranny. Zabito 31 napastników, raniono 13. Dopełnieniem tych zatrważających liczb są dane z roku 1934 dotyczące szpiegostwa. Na całym pograniczu polsko-sowieckim oskarżono o szpiegostwo 232 osoby, z czego na samym Wołyniu 108, co stanowiło 47%, z tego Ukraińcami było 81, czyli 75%<sup>19</sup>.

Warto też zacytować inny ciekawy dokument: *Uwagi Prokuratora Sądu Apelacyjnego w Lublinie* autorstwa dr. Markowskiego. Poza powtórzeniem też poprzedników i podkreślenia szynkarzy, których doznają w terenie osoby lojalne wobec państwa, dużo miejsca poświęcono zjawisku uszczuplenia polskiego stanu posiadania przez rządy Józewskiego. Autor opracowania pisze: *Polityka wołyńska robiła wszystko z wyjątkiem utrwalania siły polskości*. W dziedzinie wzbogacania wsi Józewski miał tylko jeden pomysł – uszczuplenie polskiej wielkiej własności przez parcelację. Wszelkich innych metod: komasacji, melioracji czy intensyfikacji upraw zaniechano, mimo że symulacje wykazały, że przyrost produkcji dzięki parcelacji stanowił jedynie 20%, kiedy potrzeby sięgały przyrostu rzędu 100–150%, który byłby możliwy do osiągnięcia przy zastosowaniu pozostałych metod. Właśnie taką intensyfikacją produkcji i wysoką kulturą rolną osiągnęli sukces na Wołyniu Czesi. Tymczasem popierane przez państwo i Józewskiego ukraińskie kooperatywy przyczyniały się jedynie do rozpolitykowania chłopów. Największe słowa krytyki skierowane jednak były na prowadzenie polityki szkolnej. Zdarzały się bowiem przypadki, gdy ludność miejscowa bezskutecznie prosiła o polską szkołę. Brak wystarczającej ilości nauczycieli ukraińskich spowodował, że na Wołyniu lekkomyślnie przyjmowano do pracy nauczycieli ukraińskich z Małopolski, którzy szybko zamienili szkoły w kuźnie antypolskiej agitacji, przy zupełnej bierności polskich nauczycieli, obawiających się „nie-łojalnych” posunięć w stosunku do przyjętego kursu. Wynikiem takiego rozwoju sytuacji były procesy o działalność antypaństwową w szkole: sprawy „Plasta”, „Junactwa” itp. Dochodziło do tego, że uczniom kazano pisać wypracowania na temat konieczności dywersji ukraińskiej przeciwko Polsce na wypadek wojny z Niemcami. Jakim duchem przesiąknięta była szkoła ukraińska na Wołyniu, dowodzi fakt, że wszyscy działacze nielegalnych UWO i OUN rekrutowali się z jej wychowanków. Dzieci ukraińskie w szkołach utrakwistycznych były uprzywilejowane dzięki hojnym podarunkom społeczeństwa (książki, broszury, pomoce naukowe). Ponadto młodzież ukraińska chętnie brała udział w pracach organizacji sportowych i przeciwpożarowych, aby uzyskać przeszkolenie wojskowe zalecane im przez komórki OUN. Zawiodły nadzieje pokładane w szkołach utrakwistycznych. Polskie dzieci były w nich ruszczone, szczególnie dzieci osadników, pozbawione polskiej szkoły, musiały uczestniczyć w lekcjach religii prawosławnej. Osobną antypolską działalność prowadziły Ridne i Proświtańskie Chaty mające w zarządach działaczy OUN (Zdołbuńów, Korszów). Zdarzały się przypadki niszczenia w takich „Chatach” portretów przedstawicieli polskich władz (np. Gródek pow. rówieński) czy organizowania prowokacyjnych, obraźliwych dla Polaków przedstawień<sup>20</sup>. Według doniesień wywiadu i prokuratur wołyńskich, Ridne i Proświtańskie Chaty opanowane zostały w 70% przez OUN i KPZU, a czerpały subwencje z kasy państwa. Na imprezy i zabawy w tych organizacjach zaproszenia

- Akcje przeciwpaństwowe (podburzanie ludności przeciw państwu i władzom, opór wobec zarządzeń, nieplacenie podatków, niechodzenie na wybory, agitacja wśród wojska, itp.): 24
- Organizowanie demonstracji, wieszanie transparentów itp.: 23
- Obrazy, prowokacje, obelgi pod adresem narodu i państwa, niszczenie godła i portretów: 29.

Akcje terrorystyczno-dywersyjne:

- napady na policjantów PP i morderstwa policjantów: 8
  - morderstwa polityczne (zabójstwa księży, sołtysów, osób podejrzanych o informowanie władz, przeciwników politycznych): 8
  - inne akty terroru wobec ludności (nieudane zamachy na życie, pobicia, podpalenia): 10
  - wystąpienia dywersyjne (koleje, łączność): 6
- Razem wystąpień: 108.

<sup>19</sup> *Ibidem*.

– Akcje przeciwpaństwowe (podburzanie ludności przeciw państwu i władzom, opór wobec zarządzeń, nieplacenie podatków, niechodzenie na wybory, agitacja wśród wojska, itp.): 24

– Organizowanie demonstracji, wieszanie transparentów itp.: 23

– Obrazy, prowokacje, obelgi pod adresem narodu i państwa, niszczenie godła i portretów: 29.

Akcje terrorystyczno-dywersyjne:

- napady na policjantów PP i morderstwa policjantów: 8
- morderstwa polityczne (zabójstwa księży, sołtysów, osób podejrzanych o informowanie władz, przeciwników politycznych): 8
- inne akty terroru wobec ludności (nieudane zamachy na życie, pobicia, podpalenia): 10
- wystąpienia dywersyjne (koleje, łączność): 6

Razem wystąpień: 108.

<sup>20</sup> Na jedno z przedstawień w Żytyniu zaproszono polskich żołnierzy. W sztuce zożydzano Polaków i Polskę (*Uwagi Prokuratora...*).

drukowano jedynie po ukraińsku. Lojalna Polsce ludność była zszokowana. Dochodziło do tego, że do starosty łuckiego zgłosił się sołtys gminy Polkowa z prośbą, by nie wydawać zgody na założenie w jego wsi „Proświatańskiej Chaty”, bo dotychczas był spokojny, a zacznie się politykowanie. W podsumowaniu autor podkreśla, że polskość jest bezapelacyjnie grzebana na Wołyniu, nie zyskując zupełnie nic. Zostały tam jedynie stworzone optymalne warunki dla rozwoju ukraińskiego nacjonalizmu i komunizmu<sup>21</sup>.

Z materiałów wywiadu wynika, że Józewski otoczył się ludźmi spoza Wołynia, często o bardzo złej reputacji. Byli między nimi: Ilijuk, karany za działalność w OUN (dano mu stanowisko w magistracie w Równem), Tymoszenko, który w Czechosłowacji w Podiebradach prowadził szkołę ukraińską, Skrypnik, który utrzymywał kontakty z OUN i był parlamentariuszem Armii Czerwonej w wojnie polsko-bolszewickiej, Własowski – były współpracownik rusyfikatora – biskupa chełmskiego Eulogiusza, czy wcześniej wspomniany biskup łucki Polikarp Sikorski. Tacy to ludzie mieli rozwiązywać problemy świadomości narodowej i lojalności wobec państwa. Aby zamaskować działalność ukraińską, ludzie Józewskiego urządzali pokazowe, reżyserowane, ale za to szumne obchody świąt i polskich rocznic narodowych.

Również Inspektor Armii, gen. Burhard-Bukacki, jednoznacznie negatywnie ocenił efekty pracy Józewskiego na Wołyniu. Po pierwsze prawie cała miejscowa ludność Wołynia zapisana w roku 1921 jako Rusini figurowała w roku 1937 jako Ukraińcy; zmalał odsetek ludności polskiej w gminach wiejskich (z 16,8% do 16,2%), mimo że na spisach pojawiło się wiele nowych miejscowości, a w niektórych z nich ludność była w prawie wyłącznie polska (osadnicy)<sup>22</sup>. Przytaczał ko-

lejne informacje o nadużyciach i skandalach w administracji<sup>23</sup>. Liczne przykłady świadczyły też jednoznacznie o tępieniu polskości na Wołyniu. Oto kilka przypadków:

- z 4 tysięcy złotych na zapomogi dla organizacji społecznych 3700 zł poszło na wrogie polskości organizacje ukraińskie, a tylko 300 zł na polskie;
- w 1935 roku wojewoda 500 zł dla Związku Rezerwistów przeznaczył na inne cele;
- na akademii z okazji święta niepodległości w 1934 roku 11-letni chłopiec powiedział wierszyk o obrońcach Lwowa. Ten drobny epizod został uznany przez Józewskiego za ciężki wybrzyk i urósł do rangi groźnego faktu politycznego; wicewojewodę i starostę powiatowego spotkała nagana;
- wojewoda nie reagował na deklamowanie na akademiach ukraińskich wiersza Tarasa Szewczenki pt. *Wrażym Lacham*;
- w starostwach na Wołyniu wmawiano każdemu petentowi, że jest Ukraińcem, nawet wtedy gdy sam tłumaczył, że jest „tutejszy”;
- w starostwie do osadnika-Polaka urzędnicy zwracali się po ukraińsku;
- wojewoda zabronił przejścia przez miasto pogrzebu policjantów, którzy zginęli w obronie praworządności, „żeby nie drażnić Ukraińców”!

Podsumowując należy stwierdzić, że wojewoda Józewski zasłużył sobie rzetelnie na określenie: „grabarz polskości Wołynia”. Za zniszczenie polskiego stanu posiadania; za wzmocnienie ukrajinizmu przez likwidowanie polskiej własności drogą rozdziału ziemi polskiej wyłącznie między miejscową ludność ukraińską; za terroryzowanie polskiego społeczeństwa, rozbijanie jego spójności; za sprowadzanie z zagranicy (Niemiec, Czech) Ukraińców i obsadzanie nimi administracji przy równoczesnym usuwaniu ze stanowisk Polaków; za ukrajinizowanie Cerkwi prawosławnej przez wprowadzenie do liturgii języka ukraińskiego w miejsce starosłowiańskiego; za zakładanie ukraińskich szkół; za założenie ukraińskiej partii politycznej „Wołyńskie Ukraińskie Objednanie” oraz całego szeregu innych organizacji, którym przewodzili spro-

<sup>21</sup> *Uwagi Prokuratora...*

<sup>22</sup> Kwestię tę poruszył dr Markowski w apologetycznej broszurze poświęconej wojewodzie Józewskiemu. Podał liczby dotyczące statystyki ludności Wołynia – 77% mieli stanowić tam Ukraińcy, a Polacy jedynie 14%. Było to ewidentne przekłamanie. Na dodatek nie podano w ogóle liczby Polaków w miastach – jedynie na wsi. Wiadomo zaś, że było tam 795 miejscowości czysto polskich lub o przynależącej polskiej większości (28–30% znajdowało się na terenie pow. łuckiego).

<sup>23</sup> Dokumentacja z Prokuratury w Równem z 6 maja 1936 roku dotycząca nadużyć, do których doszło w powiecie dubieńskim.

wadzeni z Kijowszczyzny Ukrainy. Proceduru tego Józewski dopuszczał się przez 11 lat!

\* \* \*

Eksperyment wołyński był jednym z wielu przedsięwzięć władz sanacyjnych mających na celu zjednanie ludności ukraińskiej kolejnymi koncesjami, często kosztem polskiego stanu posiadania (reformy rolne, spółdzielczość, szkolnictwo itp.). Owe koncesje, zamiast lojalności ukraińskich mieszkańców państwa, przyniosły pogorszenie się stanu bezpieczeństwa na Kresach na skutek terrorystycznych działań OUN i innych ukraińskich organizacji prowadzących antypolskie akcje w terenie. Ustępstwa odbierane były jedynie jako objaw słabości państwa. Kolejne zamachy i akty wrogości ze strony nacjonalistów ukraińskich wywoływały niekiedy reakcję władz. Spirala niechęci narastała.

Jednak niemal do końca istnienia II RP strona rządząca odnosiła się z niechęcią do jakichkolwiek koncepcji asymilacyjnych opozycji, głównie endeckiej, która – jak się zdaje – lepiej odczytywała „znaki czasu”.

Dopiero gdy kolejna wojna pukała do wrót Rzeczypospolitej, a współpraca Niemców hitlerowskich z nacjonalistami ukraińskimi szła pełną parą, władze uzmysłowiły sobie nagle, że zaniechanie działań w kierunku unifikacji i polonizacji prowadzi jedynie do utraty prowincji wschodnich. Było już jednak za późno. Wszystkie szanse stwarzane przez państwo wykorzystali tak naprawdę tylko Ukraińcy.

Forsowany przez obóz Piłsudskiego prometeizm przetrwał w polityce polskiej do dziś. Pomimo swej podstawowej nieprzydatności do rzeczywistości, pomimo, że w znacznym stopniu przyczynił się do wielu nieszczęść, jakie spotkały nasz kraj, okazał się na swój sposób niezniszczalny. W stosunkach Polski z ukraińskim sąsiadem nieustannie dochodzi do dramatycznego zderzenia dwóch mentalności i sposobów myślenia, które stroną polską czyni najczęściej bezbronną. Polacy z natury prezentują w kontaktach z Ukraińcami dążność do porozumienia za każdą cenę. Takie podejście odbierane jest przez sąsiada, jak dawniej, jako słabość i wykorzystywane dla własnych celów.

## Szanowni Przyjaciele, Miłośnicy Lwowa i Kresów Wschodnich!

Zwracam się do Państwa jako wieloletni członek T.M.L. i K. Płd.-Wsch. z prośbą-apelem o powstrzymanie nieodpowiedzialnych i kłamliwych wypowiedzi o odbudowywanym i rekonstruowanym Cmentarzu Obrońców Lwowa – „Orląt”\*. W 2005 r. strona ukraińska przekazała formalnie stronie polskiej „odbudowany” Cmentarz. W ten sposób uwiarygodniono fałszowanie historii. Tak zwane negocjacje trwały 17 lat, podczas których wymuszano ustępstwa Polaków, grożono np. wyrzuceniem polskiego wykonawcy, oskarżeniami do prokuratora o „wandalizm” polskiego szefa odbudowy, wstrzymaniem robót itp.

Niedawno, 28-letni Polak, po studiach, opowiadał, że podczas wycieczki na Cmentarzu przewodnik ukraiński mówił m.in. że dzieci polskie w czasie walk o Lwów strzelały i zabijały dzieci ukraińskie! Słuchał tych nieodpowiedzialnych i jakże szkodliwych bzdur i uwierzył! Dziesiątki tysięcy odwiedzających Nekropolię Orląt Lwowskich jest karmionych kłamstwami. Budzi to najwyższy niepokój, wszak odbywają się tutaj lekcje historii dla dzieci z Polski, Ukrainy i innych państw. Wypaczanie historii należy ograniczyć, np. podczas oprowadzania po Cmentarzu komentowanie przez przewodników z Polski lub innych znających temat, co i jak odbudowano lub zrekonstruowano, a czego nie i dlaczego. Wszystkie odstępstwa tak odbudowanego Cmentarza odnosimy do konwencji genewskich, również odstępstwa „wynegocjowane”.

Już czas wyzbyć się lęku przed odpowiedzialnością za brak poprawności politycznej. Apeluję do organizatorów wyjazdów na Kresy, przewodników wycieczek, do autorów książek i przewodników tamże o mówienie wyjeżdżającym do tak „odbudowanej” Nekropoli Orląt tylko prawdy. W tym miejscu apeluję również do profesora S. Nicieci, znawcy historii Kresów Wschodnich, w tym historii Obrony Lwowa. Zachowajmy się jak 17-letnia Inka Siedzikówna – jak trzeba. Z Panem Bogiem!

Jan Wojciech Wingralek  
były szef odbudowy Cmentarza Orląt we Lwowie

\* Przypomnijmy sobie: **1.** Państwo Polskie musi zmierzyć się z problemem odbudowy Cmentarza Orląt. Należy zakończyć odbudowę i rekonstrukcję cmentarza oraz nie zapominać o poprawieniu sfałszowanych napisów, np.: na centralnej mogile znanej jako Grób Nieznanego Żołnierza, na mogile Lotników Amerykańskich i Piechurów Francuskich, uzupełnieniu napisów na tablicach, odtworzeniu orderów wojskowych na rzeźbach aniołów w katakumbach i wiele innych. **2.** Tygiel problemów i zagadnień, którymi żyje Ukraina, jest olbrzymi. Przewagę w mediach ma krzykliwa propaganda UPA. Na 24 obwody-województwa na Ukrainie w pięciu bohaterem jest Bandera. Od dawna inspiratorem jest władza moskiewska. Od „poniżania dumy narodu ukraińskiego”, przez gloryfikację UNA-UPA i wyparcie się ludobójstwa na Polakach, do „walki na pomniki” itp. I jeszcze Krym i wojna z Putinem. I nasze Polskie usprawiedliwianie się, że ukraińską „chorobę dziecięcą” należy przeczekać.

Zbigniew Wawszczak

## ... bacz, ile on maju krawatków

epizod z życia Polaków na Kresach w latach II wojny światowej

Jest grudzień 1943 r. Śnieg otulił białą kołdrą lasy, pola, wioski i miasteczka. Polacy z miejscowości Zamek k. Magierowa w powiecie Rawa Ruska przygotowują się do czwartej wojennej wigilii. Boże Narodzenie to radosne święto, na które czekają starsi, a przede wszystkim młodzież i dzieci. Ale nie ma powodów do radości, ciągle trwa okrutna wyniszczająca wojna. Kresami południowo-wschodnimi zarządzają okupanci niemieccy nakładając na rolników wysrubowane kontyngenty. Każdy rolnik dostarczać musiał określone ilości zboża, mleka, przeznaczone dla Wehrmachtu, który ponosił w wojnie ze Związkiem Sowieckim klęski i wycofywał się powoli na Zachód. Część żywności wyprodukowanej przez rolników, a także zarządzane przez Niemców folwarki hr. Siemińskiego przeznaczona była dla głodującej ludności III Rzeszy, nękanej nieustannie bombardowaniami przez aliantów. Niemiecki oficer (inwalida wojenny) i jego dobrze przygotowani pomocnicy oczyszczili i zarybili stawy dworskie, zaniedbane podczas pierwszej okupacji sowieckiej, ale karpie odławiane były jedynie na potrzeby okupantów niemieckich.

W domu rodziny Maternów pamiętano, jak to przed wojną przybywał z pałacu posłaniec od hr. Natalii Siemińskiej z karpiami na wigilię. Hrabiostwo Natalia i Jan Siemiński, do 1939 r., należący do grona najbogatszych ziemian w Małopolsce Wsch., stracili wszystko. Armia Czerwona ograbiła i zdewastowała okazałą rezydencję w Zamku, a najcenniejsze skarby (klejnoty rodzinne, złoto, porcelanę, srebra, miniatury itp.), z którymi uciekli do Lwowa, również wpadły w ręce najeźdźców. Siemińskim jednak dopisało szczęście, chociaż goli jak święci tureccy – uratowali rzecz najcenniejszą, życie własne i dwojga dzieci.

Wojnę przetrwali u krewnych hr. Tarnowskich w Dzikowie k. Tarnobrzega, pracując w administracji majątków, a po wojnie udało im się wyjechać potajemnie na Zachód.

W rodzinie Maternów, którzy utrzymywali bliskie kontakty z właścicielami rezydencji w Zamku, również przygotowywano się do świąt. Maternowie nie zajmowali się uprawą ziemi, którą dzierżawili inni. Podstawą ich utrzymania był duży dobrze wyposażony zakład ślusarsko-mechaniczny. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej zakład został skonfiskowany i przekształcony w ośrodek maszynowy. Po przyjeździe Niemców zakład wrócił do właścicieli i mimo wojny osiągnął dawne obroty.

Przy stole wigilijnym u Maternów już trzeci rok brakuje dziadka Grzegorza Bajorka, przez kilka kadencji wójta gminy zbiorczej w Zamku, który wraz z żoną wywieziony został w mroźną zimę, 10 lutego 1940 r., na Syberię (obł. Irkuck, rej. Tutum), gdzie obydwójce zmarli.

Oprócz kilkorga krewnych na wigilii mieli być obecni członkowie trzyosobowej rodziny Maternów: rodzice, Stanisław i Rozalia, oraz ich jedyny syn Tadeusz. Jednak na tydzień przed wigilią miało miejsce zdarzenie, które Tadeusz pamiętać będzie do ostatnich



ELEWACJA PŁD.-od str. ulicy  
SKALA 1:200

Rys. Tadeusz Materna

dni swego życia: napad ukraińskiej bandy rabunkowej.

W mroźną zimową noc smacznie śpiących członków rodziny Maternów zbudziło gwałtowne łomotanie w szyby okienne i głośne wołania po polsku i ukraińsku: – *Otwierać; odkrywajcie, bo rozwalimy szyby i przez okno wejdziemy do domu*. W jednej chwili wszyscy obudzili się i zerwali z łóżek.

Stanisław Materna brał udział w I i II wojnie światowej, rozmaite zdarzenia wojenne nie były mu obce. W 1939 r. dostał się do sowieckiej niewoli. Udało mu się zbiec z obozu przejściowego utworzonego przez Armię Czerwoną w Tarnopolu i wrócić do domu.

Kiedy walono w okno, zorientował się, że sytuacja jest poważna. – *Prześcieńcie łuc w okna, zaraz otworzę* – krzyknął. Zapalił światło, szybko poszedł do drzwi i odsunął zasuwę.

Do domu wtargnęło brutalnie kilku mężczyzn z karabinami w rękach. Odepchnęli Stanisława gwałtownie na bok, a jeden z nich, ubrany w polski mundur wojskowy i rogatywkę bez orzelka, powiedział z wyrzutem do przestraszonych domowników łamaną polszczyzną. – *To wy wylegujecie się w wygodnych łóżkach, w ciepłej izbie, a my musimy marznąć w lasach, bo tego wymaga walka o wolność?! Ty – zwrócił się stanowczo do Stanisława – będziesz otwierał nam drzwi do szaf, komód i innych skrytek, a wy – te słowa skierował do żony i 9-letniego Tadeusza – macie natychmiast położyć się na łóżkach twarzami do poduszek. I nie próbujcie się rozglądać, bo będzie z wami źle!*

Bandyci wędrowali od szafy do szafy. Maternowie należeli do grupy zamożniejszych mieszkańców Zamku. Ojciec posłusznie otwierał drzwi szaf, a napastnicy wrzucali do worków całą zawartość, ubrania, pościel, bieliznę i wszystko, co wydawało się cenne, warte tego, by wyciągnąć po to ręce. Pamiętajmy, że był to czwarty rok wyczerpującej wojny, a odzież, ubrania, palta, bielizna pochodziły jeszcze sprzed wojny. W czasie jej trwania takich luksusowych towarów nie było w sklepach. Powszechne było zjawisko, że ludzie zamożniejsi opróżniali szafy, komody, skrytki z biżuterią i zamieniali je na niezbędną do przetrwania żywność. Wspominam o tym szerzej, bo ludzie z powojennych generacji, zwłaszcza młodzi, nie zda-

ją sobie sprawy, jak wielkie były niedobory zarówno żywności, jak i ubiorów, odzieży, dzisiaj oferowanych przez hipermarkety w trudnym do odgadnięcia wyborze, ilości i fasonach.

Im dłużej trwała wojna, tym mniej zasobna część społeczeństwa zmuszona była do noszenia

liczej, często przerabianej i łataniej odzieży.

Patrząc bezsilnie, jak bandyci ogałają kolejne pomieszczenia domu, Stanisław Materna zauważył, że pełne worki wynoszą przed dom, gdzie stało kilkoro sań z zaprzęgniętymi końmi, a uzbrojeni, pilnujący ich ludzie odbierali z rąk opuszczających dom wypełnione worki i układali je dosyć starannie na saniach. Parskały konie, kręciły się, rżały. Trzeba je było uspokajać. Po ogołoceniu domu napastnicy wraz z ojcem udali się do położonych nieopodal za ogrodzeniem budynków gospodarczych. W ten sposób zawartość szaf, komód, kredensu w domu zamożnego i przedsiębiorczego rzemieślnika, który dobrze zarabiał naprawiając szybko i skutecznie maszyny i narzędzia rolnicze z otaczających wieś Zamek i miasteczko Magierów folwarków, jednego z najbogatszych ziemian w Małopolsce Wschodniej, hr. Jana Siemieńskiego, zmieniała szybko i sprawnie właściciela.

Opróżniając jedną z szaf rzekomy partyzant odezwał się półgłosem do swojego kompana nie ukrywając podziwu: *K... jego mać, bacz ile on maju krawatków...* Drugi dorzucił: *Ty bacz ile tu damskich kapeluchów...*

Gdy mama pana Tadeusza próbowała podnieść głowę, aby zobaczyć, co się w domu dzieje, drugi pilnujący jej bandyta mocno szturchnął ją w plecy łufą karabinu. Odczuła dotkliwy ból. Jak się później okazało, uderzenie było na tyle mocne, że zerwało skórę z części pleców.

– *O Boże, Boże* – odezwała się obolałym głosem.

– *Ani Boh tobi nie pomoże* – ripostował napastnik.





Przybysze „oczyszcili” dom Maternów ze wszystkich rzeczy, które uznali za cenne. Odchodząc, surowo nakazali, by nikomu nie mówili o zdarzeniu, a szczególnie policji.

– *Jeśli nie posłuchacie – zagrozili – zginiecie.*

Maternowie nie odważyli się, by złamać zakaz. Uznali, że nie warto ryzykować, a nuż banda spełniłaby swoją groźbę? Lepiej było nie igrać z losem.

Śmignęły baty, konie zziębnięte na mrozie, poganiane okrzykami, ostro ruszyły z kopyta. Rzekomi „partyzanci” rozgrzewając zziębnięte ręce w biegu wskakiwali na krawędzie wyładowanych sań. Zaczął padać śnieg i zacierał ślady podków i płóz sań.

Tadeusz Materna w czasie napadu na dom rodziców w Zamku na tydzień przed Bożym Narodzeniem w 1943 r., wówczas bierny 9-letni świadek, dokonał bilansu strat: *Napastnicy opróżnili 2 szafy ubranio- we, mamy i taty, szafkę i regały, komodę, część kredensu z porcelaną i naczyniami, część spizami, w tym świeżo uwędzone szynki, kiełbasy, boczki. Zabrali dwie duże walizy z bielizną osobistą i pościelową, które były już spakowane. Z podłóg zwinęli 3 dywany, a ze ściany zerwali duży kilim oraz jeszcze inne rzeczy, np. całą szufladę z biżuterią mamy. Z odzieży w dziwny sposób ocalało futro leżące na podłodze, kiedy wynosili ubrania z szaf. W tym futrze mama przechodziła wiele zim powojennych. Po tylu latach nie pamiętam wszystkiego, np. co zabrali z budynków gospodarczych, które na rozkaz uzbrojonych złodziei ojciec po kolei otwierał.*

*Z chwilą wtargnięcia do domu w każdym pomieszczeniu były po dwie osoby, a więc wewnątrz było ich co najmniej dziesięciu. Dom był obstawiony z każdej strony przez uzbrojonego napastnika. W trakcie „odwiedzania” obiektów gospodarczych usytuowanych na placu, odgradzonych od domu, towarzyszyło ojcu dwóch uzbrojonych ludzi.*

*Jeśli chodzi o napastników, to wygląd ich i ubiór nie wskazywał na to, że są to ludzie z lasu. Wszyscy byli ogoleni, a większość była w samych bluzach, mimo że zima była mroźna. Tylko część była w płaszczach wojskowych, polskich, spodnie wojskowe polskie i przepasani pasami wojskowymi, także buty saperki. Uzbrojeni byli w karabiny typu mauser, a także składane automaty niemiec-*

*kie MPI. Kilku miało za pasem wetknięte rewolwery różnych typów, a jeden – granat niemiecki z drewnianą rączką.*

Komentując relacje Tadeusza Materny warto zauważyć, że napastnicy dysponowali przede wszystkim mundurami, oporządzeniem i bronią wojska polskiego, a także Wehrmachtu. Nie mieli natomiast uzbrojenia i oporządzenia sowieckiego. Zapewne jakaś jednostka wojska polskiego w 1939 r. walczyła lub została rozbita w tamtych stronach.

Ofiarą bandy rabunkowej padł również wuj pana Tadeusza Materny, zamieszkały w małym dworku na skraju miejscowości Zamek. Najwyraźniej napastnicy mieli rozpoznanie, kogo opłaci się ograbić. Z reguły byli to zamożni Polacy. Bandyci nigdy nie stanęli przed sądem, by odpowiedzieć za swoje czyny.

– Mielicie i tak szczęście – mówili później krewni i znajomi.

– Szczęście? – odpowiedziała zaskoczona pani Maternowa. – Zostawili nas w nocnych koszulach, ogalając dom ze wszystkiego co cenniejsze. Gdyby nie pomoc bliskich, trudno byłoby przetrwać zimę.

– To prawda, uważamy, że mimo wszystko mieliście szczęście, bo chociaż ograbili was dotkliwie, to jednak nie zabili. Jak dobrze wiecie, banderowcy też rabowali, najpierw mordowali z ogromnym okrucieństwem, by ofiary cierpiały jak najdłużej przed śmiercią. A ograbione domy i zabudowania puszczali z dymem. Zachowywali się rozkazy do dowódców niższego szczebla, by nie tylko palić zagrody „proklatych” Lachów, ale również wycinać drzewa w sadach, tak by nie mogli wrócić.

Maternowie niejedną raz zastanawiali się, kim byli członkowie uzbrojonej grupy, która napadła na ich dom. To, że nie mieli nic wspólnego z leśną partyzantką, było oczywiste. Wiele przemawiało za tym, że byli to Ukraińcy z Rawy Ruskiej i okolicy. Dobrze znali miejscowe realia. Informacje pozyskali od swoich informatorów, sami pozostając nieznanymi. Tadeusz Materna wybrał się w 1980 r. w rodzinne strony. Nie znalazł śladu po warsztacie i części gospodarczej. Pozostał dom, będący domem nauczyciela, w którym mieszkały trzy rodziny. Zaskakującym był fakt, że zniknęła, została rozebrana okazała rezydencja hr. Siemieńskich i większość z kilkunastu obiektów gospodarczych,



stajnie, obory, spichlerze itp. Niszczycielskiej furii nie oparty się nawet baszty obronne o murach ponad metrowej grubości.

Tadeusz Materna wracał do domu w kiepskim nastroju, nie przypuszczał, że miejscowość, w której upłynęło jego szczęśliwe dzieciństwo, zmieni się tak bardzo.

Napad na dom i warsztaty Maternów przed świętami Bożego Narodzenia w 1943 r. był pierwszym sygnałem o narastającym zagrożeniu dla ludności polskiej. Nasilała się zbrodnicza działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i UPA. Fala mordów na polskiej ludności przesuwiała się z sąsiadującego z powiatem Rawa Ruska Wołyniem do Małopolski.

Rodzina Maternów czuła się coraz bardziej zagrożona. W marcu 1944 r. zebrali do walizek i tobołków co cenniejsze rzeczy i z bólem serca opuścili rodzinny dom i warsztat. W Zamku mieszkali od pokoleń, zostawiali na pastwę losu dorobek życia. Czy wrócą tu, gdzie upłynęło ich życie, jeszcze kiedyś? Gdzie się podzieją? Na te i inne pytania nie było odpowiedzi, ciągle trwała wojna. Czy powstrzyma ktoś nacjonalistów ukraińskich, którzy z powodzeniem realizują ludobójczy plan eksterminacji wszystkich Polaków zamieszkujących od wieków na Kresach Południowo-Wschodnich.

Zatrzymali się chwilowo w Rawie Ruskiej. Tamtejsi Polacy też szykowali się do opuszczenia swoich domów. Następnym etapem był Pawłosiów k. Jarosławia, gdzie w dworskiej oficynie mieszkała matka hr. Siemińskiego wraz z niezamężną jeszcze córką Elżbietą. W poszukiwaniu stałego locum przenieśli się do Zaczernia pod

Rzeszowem, a później już na stałe do Rzeszowa. Różnie bywało, czasem dobrze, czasem źle, pędzili żywot ludzi wypędzonych, którzy stracili wszystko i w warunkach trwającej ciągle wojny próbują znaleźć miejsce dla siebie.

Powoli ich sytuacja się poprawiała. Ale zaczęli od zera. Ojciec znalazł pracę. Tadeusz dorastał i ukończył liceum ogólnokształcące, zaczął zarabiać. Później założył rodzinę. Wyrastał na kre-

sach, w Zaniku, w cieniu okazałej rezydencji magnackiej z murami obronnymi, basztami, wałami i fosą. Zawsze interesowały go stare zamczyska, dwory. Nic więc dziwnego, że zapisał się na specjalistyczne studia w Łodzi i stał się specjalistą od rozpoznawania i niszczenia grzybów niszczących stare budowle.

Jako specjalista mykolog brał udział w restauracji, odnawianiu dziesiątków obiektów zabytkowych na Podkarpaciu. Jego wiedzę i fachowe umiejętności wysoko oceniali konserwatorzy zabytków i angażowali go do zagrożonych pałaców, zamków, dworów, kamienic, kościołów. Przykładowo wymienimy kilka obiektów, którymi się zajmował: zamek w Baranowie Sandomierskim, pałac Czartoryskich w Sieniawie, zamek Lubomirskich w Rzeszowie. Tadeusz Materna brał również udział w rewitalizacji wielu obiektów sakralnych, m.in. przygotował ekspertyzę mykologiczno-budowlaną dla katedry katolickiej w Żytomierzu – obecnie na Ukrainie, gdzie zamieszkuje co najmniej 30 tys. osób pochodzenia polskiego.

Ostatnie lata życia spędza otoczony opieką żony, a także córki, dwóch synów i siedmiu wnuków zamieszkałych w Rzeszowie. Opieka jest bardzo potrzebna, bo przeżywa poważne kłopoty zdrowotne, często korzysta z pomocy szpitali.

Ale pamięć ma doskonałą i opowiada o życiu na kresach w sposób fascynujący.

Życzymy panu Tadeuszowi dużo zdrowia i długich lat życia.

PS. W ślady pana Tadeusza – jako rzeczoznawcy mykologicznego – idzie starszy z synów, Krzysztof, absolwent Politechniki Rzeszowskiej.

Paweł Brzegowy

# Antoni Rehman – botanik z Krakowa, geograf ze Lwowa



Portret A. Rehmana z początku lat 80. XIX w. Źródło: „Kłosy. Czasopismo Ilustrowane Tygodniowe”, nr 852, t. XXXVIII, Warszawa 1881, s. 272.

**W**br. upłynęło 100 lat od odejścia jednego z najwybitniejszych polskich botaników i geografów drugiej połowy XIX i początku XX stulecia prof. dra Antoniego Rehmana (1840–1917). Urodzony i wykształcony w Krakowie, przedmiotem zainteresowań naukowych uczynił botanikę uzyskując w 1868 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim habilitację na docenta anatomii i mikroskopii roślin. Zrealizował także dodatkowe studia z zakresu geografii i geologii na uniwersytetach w Bonn i Wiedniu, w 1882 r. przeprowadził się do Lwowa, aby objąć drugą polską katedrę geograficzną. Rzeczony artykuł przypomina kilka najważniejszych faktów z lwowskiego okresu życia Przyrodnika.

Za przyczyną polecającego listu przygotowanego przez Ferdinanda von Richthofena, Rehman otrzymał niezwykle cenną rekomendację, uzyskując nominację na pierwszego dyrektora Instytutu Geografii w ck Uniwersytecie im. Cesarza Franciszka I we

Lwowie. Edukacji geograficznej wyznaczył wtenczas 4 zadania. Po pierwsze należało poznać położenie naszej planety w stosunku do innych ciał niebieskich, przede wszystkim Słońca i Księżycy. Po wtóre zaznajomić się z Ziemią jako taką, tzn. z jej rozmiarami, postacią, geologią historyczną i dynamiczną, morfologią ogólną, orografią, hydrografią, oceanografią i in. Po trzecie w oparciu o fito- i zoogeografię opanować znajomość świata przyrody ożywionej. Po czwarte poświęcić się studiom nad człowiekiem, tzn. etnografii, interesującej się fizyczną stroną życia jednostki ludzkiej, pomijając aspekt cywilizacyjny przynależny historii. Obdarzony cenną umiejętnością wykonywania przyrządów pomocnych w prowadzeniu zajęć akademickich Rehman stworzył m.in. planurarium – urządzenie służące do oznaczenia wysokości Słońca, czasu jego wschodu i zachodu, oraz zegar słoneczny. Instytutowi działającemu w gmachu uniwersyteckim przy ul. św. Mikołaja 4, na drugim piętrze przekazano salę wykładową wraz z pomieszczeniem pełniącym funkcję gabinetu. W tak skromnych warunkach lokalowych Profesor kształcił adeptów geografii do r. 1898, gdy zapadła decyzja o przyznaniu instytutowi pomieszczeń w nowo wybudowanym gmachu przy pobliskiej ul. Długosza (ob. Cyryła i Metodęgo). Nowa sala wykładowa mogła jednakże pomieścić zaledwie 30 studentów. Co więcej, zachodziła konieczność dzielenia się skromnym metrażem z astronomami, fizykami i matematykami. Pomimo niezwykle oszczędnego budżetu ustalonego przez wiedeńskie ck Ministerstwo Wyznań i Oświecenia, dzięki zapobiegliwości swego Kierownika, Instytut Geografii otrzymał nowe atlasy, monografie, mapy i plany miast. W roku 1887 mianowano Rehmana profesorem zwyczajnym, a w roku akademickim 1887/1888 dziekanem Wydziału Filozoficznego. Udzielał się aktywnie w Polskim Towarzystwie Przyrodników im. Kopernika, Towarzystwie Ludoznawczym oraz był jednym

z inicjatorów zapoczątkowania kształcenia akademickiego kobiet, co nastąpiło w okresie jego rektoratu w r. 1897/1898. Przeglądając kronikę uniwersytecką można przeczytać, że z końcem lat 90. XIX w. Profesor kierowanej placówki podarował 18 dzieł i wydawnictw zawartych w 73 tomach, m.in. *Sprawozdania Komisji Fizjograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie* oraz wszystkie wydania „Kosmosu”. Co więcej, przekazał bogaty zbiór botaniczny wyceniony na 10 tys. koron, tj. *Zielnik flory środkowej i wschodniej Europy* obejmujący wraz z dubletami niemal 35 tys. stanowisk, a także kilka tysięcy rycin o tematyce geograficznej i etnograficznej oraz atlasy i mapy. Do lwowskich studentów Rehmana należeli m.in.: Grzegorz Welyczka, Wilhelm Pokorny, Walery Łoziński, Ludwik Krzywicki, Stanisław Pawłowski, Stefan Rudnicki i Eugeniusz Romer, który w 1909 r. wszedł w posiadanie nieruchomości przy ul. Długosza 25, stanowiącej uprzednio własność jego Mistrza. Podpiwniczony budynek parterowy uzupełnił o piętro.



Druga siedziba Instytutu Geografii przy ul. Długosza. Źródło: archiwum własne

Od początku lat 90. XIX w. Rehman intensywnie podróżował zbierając informacje do planowanej pracy poświęconej ziemiom dawnej Polski. Przemierzył Karpaty od przełomu Dunaju po Multan, wschodnią i zachodnią część Prus, Żmudź i Litwę, Inflanty polskie, skąd udał się do Petersburga, a następnie do Finlandii. W 1896 r. zapoznał się z Alpami Julijskimi, Karnickimi i stanowiącym fragment Południowych Alp Wapiennych masywem górskim Karawanken. W 1898 r. przemierzył otoczoną wysokimi górami dolinę Engandynę w szwajcarskiej Gryzoni docierając do przełęczy Majola. W 1901 r. przebywał nad Bałtykiem. Ostatnią daleką podróż odbył zimą 1903/1904 zwiedzając Egipt. Przez kilka tygodni gościł w Luksorze rozkoszując się widokiem Teb, Karnaku i innych starożytnych wspaniałości kraju faraonów.

Wyraźnie zaniepokojony aktami przemocy ze strony studentów ruskich, w 1907 r. wraz z innymi wykładowcami opowiedział się przeciwko utrakwizacji<sup>1</sup> Wszechnicy Lwowskiej. Poważna choroba, której Profesor doświadczył w 1903 r., wymusiła ograniczenie aktywności zawodowej i podróżniczej. Co więcej, przeżył wówczas osobistą tragedię związaną z odejściem małżonki Marii. W czwartek 30 VI 1910 r. w gmachu uniwersyteckim przy ul. św. Mikołaja podczas uroczystego posiedzenia pożegnano siedemdziesięcioletniego Profesora. W imieniu społeczności akademickiej przemówił prorektor Antoni Noga-Mars, dalej dziekan Wydziału



Grób A. i M. Rehmanów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Źródło: archiwum własne

<sup>1</sup> nauczanie przy użyciu dwóch języków wykładowych

Filozoficznego Józef Nusbaum-Hilarowicz, przekazując okolicznościowy dyplom pergaminowy. Z Uniwersytetem Franciszkańskim Rehman otrzymał order Żelaznej Korony III klasy, żegnał się jako geograf, o czym świadczy temat zaprezentowanego wykładu *O rozwoju nauki geografii w ostatniej dobie*.

Na temat ostatnich lat życia Rehmana wiadomo niewiele. Wyprowadziwszy się w 1909 r. z domu przy ul. Długosza zamieszkał przy ul. Mochneckiego 26, a następnie w kamienicy przy ul. Głębokiej 12. Przeszedłszy na emeryturę nie ogłosił żadnej już monografii naukowej. W nowym mieszkaniu spędził życie samotne, uginając się pod ciężarem lat. Jesień życia Uczzonego „Gazeta Lwowska” ujęła w następujących słowach: *Sędziwy emeryt nie ustawał w dalszym ciągu w pracy, choć wiek i niedomaga-*

*nie przykuwały go niejednokrotnie do łoża*. Odszedł, przeżywszy 76 lat, 12 stycznia 1917 r. Ostatnie pożegnanie A. Rehmana rozpoczęło się w poniedziałkowe przedpołudnie 15 I o godz. 11 w kaplicy Boimów, skąd uczestnicy pogrzebu udali się na cmentarz Łyczakowski. Występujący z okazjonalnym przemówieniem Romer przypomniał drogę naukową dawnego Mistrza, zważając na umiłowanie, jakim darzył ziemię ojczyste, pasję towarzyszącą realizowanym badaniom i skromność charakteru, dodając na koniec, że podobnie jak Stanisław Staszic i Wincenty Pol, przynależał Profesor do wielkich krzewicieli wiedzy. Przemierzając labirynt łyczakowskich grobowców, warto na chwilę zatrzymać się na polu 55 skrywającym mogiłę i doczesne szczątki tego wybitnego Przyrodnika.

## Maria Bartusówna

W 3. numerze kwartalnika „Cracovia–Leopolis” ukazał się artykuł Karoliny Grodzkiej pt. *Poprzedniczka Marii Konopnickiej*, a treść wyjaśnia, że była nią poetka Maria Bartusówna. Poznajemy losy jej krótkiego i trudnego życia. Zmarła we Lwowie w 1885 roku i została pochowana na cmentarzu Łyczakowskim.

W artykule znajdujemy następujące słowa autorki artykułu: *Nie wiem, w jakim stanie jest obecnie jej grób na cmentarzu Łyczakowskim, w przewodniku Medyńskiego opisany jako pomnik z granitowych głazów, w piramidę ujętych (pole 53)*. Odpowiedź przyszła nadszkodziewanie szybko, zaraz po ukazaniu się publikacji. Otóż panowie Stanisław Czerny i Ryszard Defort, z ramienia Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, od lat zajmują się wyszukiwaniem polskich grobów na cmentarzu Łyczakowskim, które trzeba poddać renowacji, a niekiedy wręcz ratować. Dzięki temu, że zdążyli zapoznać się z artykułem o wspomnianej poetce, odszukali miejsce pochówku. Jak widać na zdjęciu, które



16 listopada 2017 roku wykonał Ryszard Defort, pomnik istotnie nie jest zniszczony. Natomiast umieszczone na nim tablice, o których treści w artykule czytamy, są zabrudzone i w związku z tym nieczytelne. Pomnik i tablice zostały już oddane pod opiekę w dobre ręce!

Anna Stengl

## Pamiętajmy o naszych szkołach!

**P**odczas spotkania w TMLIKPW w Stalowej Woli, kiedy już piliśmy herbatę zagryzając ciasteczkami, podeszła do mnie pani Krystyna Podsiadło. *Muszę opowiedzieć panu o mojej mamusi, Mieczysławie Świercz, która była uczennicą szkoły Marii Magdaleny we Lwowie – powiedziała. – W 1996 r. miał się odbyć uroczysty zjazd wychowanków tej szkoły z okazji 180-lecia Szkoły św. Marii Magdaleny we Lwowie. Mamusia się bardzo zapaliła do wyjazdu do swego Lwowa, odpisała na apel, jaki ukazał się na łamach tygodnika „Przekrój”. Przesłali zaproszenie. Niestety nie doczekała. Zmarła 24 stycznia 1994 r. Specjalnie na tę okazję napisała krótkie wspomnienia. Może pana zainteresują?* Pokazuje mi zdjęcie swej mamy z 1924 roku, kiedy była uczennicą VI klasy szkoły św. Marii Magdaleny we Lwowie. Miała wtedy 13 lat. Na fotografii utrwalił się obraz smutnej, a może zestresowanej przez fotografa dziewczynki z krótkimi warkoczami. Na jednym warkoczku zawiązana jasna kokarda. Wyraziste usta i pewne spojrzenie, które spotykać będziemy na innych, późniejszych, fotografiach. Smutek,

jaki dostrzegam w jej oczach – czy to nie efekt traumatycznych przeżyć, jakie zaaplikowała jej historia? Wszak jako mała dziewczynka przeżyła pierwszą wojnę światową, wojnę polsko-bolszewicką i spowodowaną lękiem przed bolszewikami przeprowadzkę spod Tarnopola.

Rodzice, Michał Korman i Tekla z Ossowskich, mieszkali w niewielkiej Kaczanówce w powiecie Skalał. Kiedy jej ojciec, Michał, został sierotą w wieku 11 lat, opiekę nad chłopcem objęła hrabina Skarbkowa. Wystała go do Wiednia, gdzie skończył szkołę administracyjną, a w Przemyślu szkołę muzyczną, po której mógł być organistą. Tekla miała 14 lat, kiedy wzięła ślub. Michał Korman pracował jako sekretarz gminy w Kaczanówce i od 1914 r. był także organistą. Jako ważny pracownik administracji nie został powołany do wojska, gdy wybuchła I wojna światowa. W Kaczanówce zakupił ziemię, którą później udało mu się korzystnie sprzedać. W 1920 r. kupił we Lwowie kamienicę w dzielnicy Lewandówka przy ul. Związkowej 34. Pracował w magistracie Dzielnicy VII Lwowa oraz w nieodległej Biło-

Klasa Mieczysławy Korman z 1924 r., siedzi pierwsza z prawej





horszczy jako organista. W czasie II wojny światowej, podczas okupacji sowieckiej, został aresztowany przez Rosjan. 10 kwietnia 1940 r. nie wrócił do domu z pracy. Jak dowiedziała się rodzina, prawdopodobnie został zadenuncjowany przez znajomego Ukraińca. *Rosjanie płacili 50 rubli od Polaka* – mówi pani Krystyna. 13 kwietnia tegoż roku do domu Kormanów wkroczyło NKWD. Kazali zabrać podstawowe rzeczy i wywieźli ich na dworzec kolejowy. Po kilku dniach pociąg składający się z wagonów towarowych wypełnionych Polakami wywiózł Teklę z dziećmi do Kazachstanu. Osadzono ich w siole Grigoriewka. Żona Michała – Tekla zmarła 17 stycznia 1941 r.

Po pół roku Michał Korman, przetrzymywany na Brygidkach, został wypuszczony na wolność. W domu nie zastał nikogo. Przeniósł się do centrum Lwowa. Zamieszkał z rodziną na ul. Kazimierzowskiej 35, gdzie pomagał prowadzić sklep. Po wojnie jako ekspatrianci trafili do Niska, obecnie woj. podkarpackie, gdzie po jakimś czasie dotarła też najbliższa jego rodzina z zesłania.

W 1989 r. na łamach „Przekroju” (nr 2308 z 17.09.1989 r., s. 13) ukazał się apel do wychowanków szkoły św. Marii Magdaleny, który podpisał Andrzej Chlipalski, wówczas wiceprezes Zarządu Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, później założyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Cracovia–Leopolis”. Anons brzmiał: *B. uczennice i uczniowie szkoły żeńskiej i męskiej MM we Lwowie (do r. 1944) prosimy o znak życia i informacje o sobie, m.in. o latach spędzonych w tej szkole. Mile widziane będą bardziej obszernie wiadomości: nazwiska nauczycieli, koleżanek i kolegów, zapamiętane zdarzenia, późniejsze losy swoje i innych. Wiadomości te posłużą do opracowania księgi pamiątkowej szkoły i ewentualnego zorganizowania zjazdu. Listy proszę kierować pod adresem: Andrzej Chlipalski... Na odzew nie trzeba było czekać długo. „Przekrój” w tamtych czasach sięgał nakładu miliona egzemplarzy i rzeczywiście czytany był nie tylko w Polsce, ale w środowiskach Polonii całego świata. Osoby, które odpowiedziały na apel, już 10 listopada 1989 r. otrzymały powielony list, w którym Andrzej Chlipalski pisał:*

*Szanowni Państwo! Drodzy Koleżanki i Koledzy ze Szkoły Powszechnej im. św. Marii Magdaleny we Lwowie! Dziękuję*

*wszystkim, którzy odpowiedzieli na mój apel w „Przekroju” w sprawie naszej wspólnej szkoły, do której w różnych czasach i warunkach uczęszczaaliśmy. Są wśród nas osoby, które rozpoczęły tam naukę u progu tego wieku (1904 r.), i takie, które do niej wstąpiły w smutnych czasach okupacyjnych. Rozproszyliśmy się po całym świecie, ale mimo takiej odległości w czasie i przestrzeni łączy nas wspólne wspomnienie tej drogiej szkoły, w której przyszło nam wystartować w życie.*

*Nasza szkoła, tak jak wszystkie szkoły świata, wymaga upamiętnienia. Cóż dopiero mówić o szkołach, których losy potoczyły się nieszczęśliwie, których świat się zamknął? Ale my, jej uczniowie, jeszcze żyjemy, jest więc naszym obowiązkiem zebranie tego co możliwe. Szkoda, że nikt się do tego wcześniej nie zebrał, o ileż więcej moglibyśmy się dowiedzieć i zapisać. Nasze wspomnienia i relacje trzeba utrwalić także i dlatego, że muszą się one stać częścią skarbicy dokumentów polskiej kultury Lwowa.*

*Otrzymałem dotąd niespełna czterdzieści zgłoszeń listownych, telefonicznych i osobistych, w tym jeden list z zagranicy. Myślę, że to mało. Apeluję do Państwa, byście namówili innych, znanych Wam uczennice i uczniów Szkoły (sporo takich nazwisk podajecie), także z zagranicy, by również coś napisali. Mamy mało szerszych relacji z lat 1910–1920, a przecież młodzież z tych lat żyje (i wcale nie jest jeszcze sędziwa).*

*Zawartość listów jest różnorodna. Większość jest obszerna, zawiera mnóstwo ciekawych wspomnień i informacji, niektóre proszą się o publikację (np. relacje pani J. Peltzowej z lat 1904–1913, panów A. Ryka i J. Wiktora). Do niektórych listów załączono odbitki świadectw (z czego najciekawsze z roku szkolnego 1918/19, przerwane go przez Obronę Lwowa, więc dzieci nie*



Mieczysława Korman, 1924 r.

klasyfikowano) i innych drogich pamiątek. W innych wreszcie listach ich autorzy dopiero zapowiadają obszerne relacje, w tym – dzieci naszych Wychowawców, niestety już nieżyjących – o swych Rodzicach. Bardzo na nie czekamy.

Bardzo proszę o opisywanie zapamiętanych wydarzeń, wycieczek, ciekawych życiorysów, podawanie nazwisk poległych lub zamordowanych, deportowanych i więzionych, a także takich, którzy wybili się w kraju lub poza nim.

Wiele osób powiadamia o swej przynależności i aktywności w Towarzystwie Miłośników Lwowa. Nasza „akcja MM” mieści się także w sferze działalności TML, namawiam więc tych z Państwa, którzy jeszcze nie należą do Towarzystwa, by zgłosili doń swój akces. Mamy bardzo wiele do zrobienia – wymienię tylko dwie ważne dziedziny: pomoc Polakom w naszym rodzinnym Mieście (i w całym regionie południowo-wschodnim) oraz utrwalenie wspaniałej spuścizny kulturalnej Lwowa i jego wielowiekowej polskości. Oddziały TML istnieją w ponad 40 miastach, większych i mniejszych, łatwo więc dotrzeć do naszych środowisk.

Proszę wybaczyć, że nie odpowiadam na każdy list z osobna, to na razie niemożliwe. Załączam natomiast „listę obecności” osób, które nadesłały listy, spodziewając się, że może przynajmniej część z Państwa odnajdzie się wzajemnie i zechce nawiązać kontakty między sobą.

Oczekujemy dalszych listów od Państwa i innych. Z wyrazami poważania i koleżeńskim „cześć”.

mgr inż. Andrzej Chlipalski  
Wiceprezes Zarządu TML w Krakowie

Oglądam zaproszenie adresowane do mamy pani Krystyny Podsiadło: *P. Mieczysława Świercz. Droga Koleżanko! Serdecznie zapraszamy Cię do wzięcia udziału w uroczystościach Jubileuszu szkoły, które odbędą się w dniach 11–13 października 1996 roku. Organizatorem jubileuszu 180 lat dawnej szkoły imienia św. Marii Magdaleny we Lwowie była Szkoła Średnia nr 10, kiedyś przy ul. Potockiego, w 1996 r. jeszcze przy ul. Puszkińska 1 we Lwowie. Z tego zaproszenia adresatka nie skorzystała już. Zmarła. Będąc nauczycielką, doskonale wiedziała, jak ważne są jubileusze szkolne,*

które na lata cementują przyjaźnie i tradycje. Spoglądam na legitymację szkolną Prywatnego Seminarium Nauczycielskiego im. Zofii Strzałkowskiej we Lwowie wydaną jesienią 1928 r. pannie Mieczysławie Kormanównie. Ze zdjęcia spogląda poważna twarz 17-letniej dziewczynki w białej bluzce z dużym kołnierzem marynarskim, z zawiązaną kokardą pod szyją, na której wisi sznur koralu, a może bursztynów? To już prawie dorosła dziewczyna, kobieta! Ciemne włosy ufryzowane w typowy latom 20. sposób. Wyraziste usta i pewne spojrzenie! Do Lwowa na jubileusz szkoły nie pojechała też córka pani Mieczysławy. Wysłała list, w którym dziękuje w imieniu swej mamy za pamięć, zapewniając organizatorów, że cieszyła się ze wszystkich informacji o swej ukochanej szkole, jakie do niej w ostatnich latach docierały. Pozostały jednak wspomnienia o szkole, które spisała, a impulsem do tego był anons w „Przekroju”.

Oddajmy zatem głos Mieczysławie Świercz de domo Korman:

W „Przekroju” nr 2308 z dnia 17 września 1989 r. zostałam poproszona o informację o sobie, byłej uczennicy szkoły im. Świętej Marii Magdaleny we Lwowie, o latach spędzonych w tej szkole. Do szkoły tej uczęszczałam od klasy III, z początkiem roku szkolnego 1920/21, do ukończenia klasy VIII w roku 1926. Kierowniczką tej szkoły była p. Agnieszka Kruszyńska. Wychowawczynią moją w klasach III i IV była p. Papé, a od klasy V do VIII p. Józefa Krokowska. Naukę w tej szkole wspominam bardzo mile. Chodziłyśmy na wycieczki przyrodnicze, historyczne, geograficzne itp. Każda lekcja o M. Konopnickiej poprzedzona była odwiedzinami grobu poetki z kwiatami. Po odśpiewaniu „Roty”, złożeniu kwiatów na mogile, wygłoszeniu znanych jej wierszy, wracałyśmy tramwajem do szkoły na lekcje pełne uczucia do poetki, która tyle pisała o dzieciach i dla dzieci. Przeżyć patriotycznych dostarczały nam wycieczki do Panoramy Raclawickiej, do muzeum historycznego i przyrodniczego. Szkoła ta wychowywała nas w wielkiej miłości do ojczyzny. Panie nauczycielki często wspominały nam: *Jakie jesteście szczęśliwe, że możecie chodzić do polskiej szkoły, mówić i czytać po polsku. Zwracały uwagę na piękno naszej mowy, upominały poprawnego wyrażania. Uczyły dobrego zachowania*

się w każdej sytuacji. Szkoła nasza często brała udział w uroczystościach państwowych lub imprezach miejskich. Kilka z nich pamiętam do dziś i opiszę je. Był to czas odwiedzin Lwowa przez marszałka Francji Focha. Miasto było uroczystie udekorowane. Dziewczynki z naszej szkoły ubrane w sukienki o barwach: biała, czerwona i niebieska, rzucały bukiety kwiatów, wołając: „Niech żyje Francja!” To było dla nas wzniosłe przeżycie. Najmocniej jednak przeżyłam pogrzeb Nieznanego Żołnierza. Postaram się go opisać. Miasto pełne smutku. W świątyniach były dzwony. Młodzież szkolna i żołnierze przykryli lśniące odznaki czarną krepą. Orkiestra wojskowa grała marsza żałobnego. W kondukcje pogrzebowym szli księża, siostry zakonne, kadeci, wojsko, studenci. Latarnie uliczne były zaświecone i przykryte kirem. W poważnym skupieniu dążyli od Łyczakowa do Dworca Głównego. Wzdłuż całej trasy młodzież trzymała szpaler. Z Dworca Głównego Nieznanego Żołnierza wraz z towarzyszącymi mu osobami wyjechał specjalnym [pociągiem] do Warszawy.

Po ukończeniu szkoły podstawowej wstąpiłam do Seminarium Nauczycielskiego im. Zofii Strzałkowskiej. Maturę zdałam w 1931 r. Trudno było wtedy o pracę. Czeakałam dwa lata, a w jesieni 1933 r. dostałam bezpłatną praktykę w szkole im. św. Marii Magdaleny. Wiedziałam, że będę pracowała bezpłatnie, ale radości mojej nie było granic, że na tyle szkół lwowskich wróciłam do mojej „Magdusi”.

Powitano mnie tu bardzo serdecznie, p. Dyrektor otoczyła mnie troskliwą opieką i pierwsze kroki w nauczaniu stawiałam w szkole, która tyle włożyła w moje wychowanie. Staralam się czuwać nad powierzoną mi gromadką dzieci i naśladować moje byłe wychowawczynie.

Po odbytej praktyce dostałam posadę nauczycielską na wsi w woj. rzeszowskim. Obecnie mieszkam w Stalowej Woli. Od 1970 r. jestem na emeryturze.

Moje koleżanki ze szkoły św. Marii Magdaleny: Eugenia Mikosińska, Danuta Miendowicz, Wanda Wrońska, Izabela Spaczyńska, Kazimiera Zuzan, Wacława German, Józefa Sedlaczek, Jadwiga Barszczewska,



Stanisława Dorożyńska, Maria Piotrowska. Panie nauczycielki: p. dyrektor Agnieszka Kruszyńska, p. dyrektor R. Weidner-Niementowska, p. M. Papé, p. Józefa Krokowska.

Na zbiorowym zdjęciu swej klasy z 1924 r. siedzi w jasnej sukience po prawej stronie. Które z wymienionych przez nią osób zostało utrwalonych na tej fotografii? 13-letnia Mieczysława – Miecicia, jak na nią wołały koleżanki w szkole – ma krótkie warkoczki z kokardkami. Na jej ramieniu, stojąca za nią koleżanka położyła swą dłoń. Może były przyjaciółkami – stąd ta poufałość. W środku być może wychowawczynie – Józefa Krokowska?

Wśród dokumentów, które przekazała mi pani Podsiadło, znajduję pisany na kartach współczesnego kalendarzyka życiorys. Trudno osądzić, czy pisała go w styczniowe dni 1984 roku czy później – wykorzystując wolne styczniowe strony tegoż kalendarza. Starannym, kaligraficznym pismem, w swym stalowowolskim mieszkaniu, w wieku prawie 80 lat, wspominając przeszłość, pani Mieczysława pisała: *Życiorys Mieczysławy. Urodziłam się 1.10.1911 r. w Kaczanówce, pow. Skałat, woj. Tarnopol. Po ukończeniu 7-ego roku życia zaczęłam uczęszczać do szkoły. Pierwszą klasę ukończyłam w Kaczanówce, drugą prywatnie w domu. W roku 1920 rodzice przenieśli się do Lwowa, a więc od klasy III do VIII włącznie byłam uczennicą szkoły im. św. Marii Magdaleny we Lwowie, po ukończeniu której wstąpiłam do prywatnego seminarium nauczycielskiego im. Zofii Strzałkowskiej we Lwowie. Maturę zdałam w 1931 r. W owym czasie było bardzo trudno o pracę, więc przez 2 lata*

byłam bezrobotną nauczycielką, a [po] tej przerwie skierowano mnie na praktykę nauczycielską do szkoły, w której ukończyłam szkołę powszechną, tj. do Marii Magdaleny. Praktyka była dla mnie bardzo przykra, ponieważ nie miałam żadnego wynagrodzenia ani żadnych uprawnień do zniżki kolejowej czy przejazdu tramwajem. Ojca też nie stać było dawać mi pieniędzy, bo z małej pensji (100 zł) musiał wyżywić 6 osób, tzn. rodziców i czworo dorosłych dzieci. Brat Władysław, też po maturze, bez pracy, a Bolesław i August uczęszczali do szkoły średniej. Pracowałam chętnie, chociaż w niedostatku. Dziewczynki, moje podopieczne, były miłe i grzeczne. Nie zawsze było bez kłopotów. Od czasu do czasu władze szkolne polecały mi zastępstwa do innej szkoły. W ciągu roku szkolnego przetrucana byłam do pięciu szkół. Przeżyło się te wędrówki do innych szkół i rok tej bezpłatnej praktyki wspominam bardzo miło. Po ukończeniu jej dostałam pracę państwową w powiecie niżańskim, we wsi Kopki, poczta i stacja kolejowa Rudnik n, Sanem. Tu przepracowałam rok szkolny 1934/35, ponieważ podpisałam umowę na ten okres. Od 1 IX 1935 r. otrzymałam etat w szkole w Mostkach-Nalepach. Nalepy to małe osiedle (około 30 rodzin) na terenie Lasów Janowskich. Szkoły tam nigdy nie było, przypadło mi więc w udziale organizować ją. Miałam do wyboru pomieszczenie na izbę szkolną, więc uznałam, że najodpowiedniej-

szy będzie pokój w domu Mikołaja Nalepy... Klasę urządza przy pomocy rodziców. Po wstępnych rozmowach do zakładanej szkoły kwalifikuje 20 dzieci. Wdraża program szkoły o jednym nauczycielu. Mostki-Nalepy na zawsze zapamiętały panią Mieczysławę, która założyła im szkołę i przez wiele lat była ich pierwszą nauczycielką.

Spoglądam na zbiorową fotografię z 1933 r. Mieczysława Kormanówna odbywa wówczas bezpłatną praktykę w swej szkole. Ma wtedy 22 lata. Zapewne pamiątkowe zdjęcie wykonane z okazji przystąpienia dzieci do pierwszej komunii świętej. Dziewczynki ubrane na biało, z różańcami i książeczkami do modlitwy w dłoniach, prawie wszystkie w białych rękawiczkach. Mieczysława Kormanówna siedzi obok księdza katechety. Elegancka suknia zwieńczona białym, dużym kołnierzem. Krótkie, gładko przyczesane włosy nadają elegancji, ale i podkreślają wyraziste i pewne spojrzenie, które towarzyszy jej w pierwszym roku spełniania się zawodowego.

W Nalepach na Podkarpaciu pamięć o pierwszej nauczycielce trwa nieustająco do dzisiaj. Wspominają panią Mieczysławę przy każdej okazji. I słusznie, wszak pierwszy nauczyciel to jak rodzice, wprowadzał nas w świat słowa pisanego i czytanego. O takich osobach nie zapomina się nigdy, chyba że nie czytamy i nie piszemy... A to już jest wtórny analfabetyzm!

Pamiątka Komunii Świętej, młoda nauczycielka Mieczysława Korman siedzi pierwsza z prawej, 1933 r.



# Zegar – Przeznaczenie

## (Część III)

Wchodząc głównym wejściem, nie można się było nie zatrzymać przy gablotach z zegarkami genewskimi polskich producentów: – Wincentego Gostowskiego (J. Dąbrowski n°809), który miał własną wytwórnię po rozstaniu z Patkiem, – oraz gablocie samej firmy Patek Philippe i S-ka (n°773), w której można było podziwiać *piękny zegarek z wyrytym na kopercie Kościuszką*, co było specjalnością tej znanej firmy. Między nimi naprzeciw głównego wejścia znajdowały się dwie gablotki (Julian Strzelecki ze Lwowa n°706) zawierające drugą i trzecią wygraną wielkiej loterii wystawowej: *garnitur brylantowy wartości 9000 złr i serwis stołowy wart. 4500 złr*. Było więc na co popatrzeć! Nie wiadomo, czy Wiktor skusił się na nabycie jej losu (po 1 złr za los), choć pierwszą nagrodą była dwupiętrowa kamienica na rogu ulic Pańskiej i Kochanowskiego o wartości 60 000 złr... Dwa inne zegary (jeden stojący, a drugi z kukułką) były wystawione trochę dalej, bo w lewym ramieniu, a dwa pozostałe w Pawilonie amerykańskim naprzeciwko Pawilonu przemysłowego po drugiej stronie obszernego placu z basenem i wodotryskiem.

Nie można mieć też wątpliwości, że Wiktor dobrze wykorzystał przysługującą mu jako wystawcy kartę stałego wstępu na Wystawę zaopatrzoną w fotografię. Normalna cena wynosiła bowiem 16 zł. Ceny biletów jednodniowych wahały się natomiast od 35 ct do 50 ct w zależności od pory dnia. Wystawa była tak bogata, że by zobaczyć wszystko jak należy, cały tydzień byłby za krótki. W samym Pawilonie przemysłowym na pewno Wiktor interesował się instrumentami muzycznymi, a w szczególności fortepianami i organami, gdyż sam grał na fisharmonii, a na dodatek były one wystawione po sąsiedzku, w głębi środkowego ramienia. Ponadto w prawo od głównego wejścia pod ścianami były urządzone kompletne salony meblarskie, które wzbudzały zachwyt, a w środkowym trakcie – zdobnicze rzeź-

biarstwo drewniane, ołtarze, w tym gotyckie m.in. Michała Czernowskiego ze Lwowa – Wiktor i z nim miał o czym rozmawiać. Dalej tapicerstwo, szkło, porcelana, tkaniny z przepięknymi strojami ludowymi (np. całe „wesele krakowskie”). Nie mówiąc już o „piramidzie wódek” Baczewskiego, gdzie z całą pewnością można było skosztować pyszności...

Poza Pawilonem przemysłowym Wiktor z całą pewnością spędził wiele czasu w Rotundzie, kontemplując bez pośpiechu *Panoramę Raclawicką* oraz dzieła sławnych malarzy i rzeźbiarzy w Pawilonie sztuki. Samych obrazów było tam ponad 370. Napast więc oczy dziełami Styki i Popiela ze Lwowa, ale też tak sławnych twórców, jak Chełmoński, Gieryski, Gerson, Fałat, Kossak (Juliusz) czy Witkiewicz i Wyspiański. Było też ponad 70 rzeźb, więc miał na czym się wzorować, by doskonalić własny kunszt. Dalej miał wybór nieograniczony, bo pozostawało mu... ponad 120 pawilonów ze wszystkich dziedzin życia.

Skorzystał pewnie też z nowości technologicznych, które po raz pierwszy w kraju były zrealizowane z okazji Wystawy. Podstawową atrakcją była kilkudziesięciometrowej długości kolejka linowa unosząca się nad parowem, dzielącym plac fontanny świetlnej od naftowych wież wiertniczych (notabene: w czasie trwania Wystawy zrealizowano wiercenie aż do prawie 500 m głębokości). Nie wiadomo, czy lękał się kilkunastumetrowej wysokości... Drugą krajową premierą było zainstalowanie tramwaju elektrycznego od dworca kolejowego do głównej bramy Wystawy. Była to trasa pod górkę, więc wszyscy z niego chętnie korzystali i czasami trzeba było długo na niego czekać nie bez obaw o ewentualne porażenie prądem. I nie tylko. Mam nadzieję, że w sobotę 8 września wieczorem Wiktor wracając do miasta nie był pasażerem wagonu, w którym zламаł się przedni hamulec, tak że tramwaj zaczął się staczać ulicą Raclawicką z coraz większą prędkością, powodując prawdziwą panikę: pasażerowie wyskakiwali przez rozbijane

okna i tłuki się przy tym solidnie. W końcu wagon sam się zatrzymał przy szkole św. Zofii, nie wyrządzając większych szkód. Sam konduktor stracił przy tej okazji kilka zębów...<sup>1</sup>

Frekwencja na Wystawie była zmienna – były okresy natłoku, ale również czasami place świeciły pustkami, szczególnie w słotne dni, których – jako się rzekło – tego lata było sporo. Niemniej jednak gros zwiedzających stanowiły zorganizowane grupy, które docierały do Lwowa z całej Galicji. Byli to przede wszystkim członkowie stowarzyszeń i związków wszystkich dziedzin życia galicyjskiego, którzy brali udział w kongresach, zjazdach itp. organizowanych specjalnie w tym okresie dla podkreślenia doniosłego charakteru Wystawy. Wszystkie te zgromadzenia udały się wyśmienicie z wyjątkiem jednego – zjazdu Związku Sybiraków przewidzianego na połowę września, którego w ostatnim momencie zakazano, tak że część delegatów dowiedziała się o tym dopiero wysiadając z pociągu. Sprawa była wysoce polityczna, skoro wydanie „Kuriera Lwowskiego” z soboty 15 września informujące o aresztowaniach w Tarnopolu (prawdopodobnie związane z ruchem Sybiraków) zostało skonfiskowane przez cenzurę... Były też rzesze młodzieży szkolnej w różnym wieku, nie tylko ze Lwowa i okolic, ale również z dalszych stron dzięki hojnym ofiarodawcom, którzy finansowali podróż.

Wśród wielu relacji z tych wizyt zwróciła moją uwagę szczególnie ta dotycząca Stryja. Otóż pod koniec sierpnia przyjechała na Wystawę olbrzymia, 1500-osobowa grupa przedstawicieli z powiatu stryjskiego. Była to od początku Wystawy najlicniejsza grupa (potem przeliczyła ją tylko grupa ze Złoczowa – 1800 osób). Nie wiadomo wprawdzie, czy Wiktor przyjechał razem z nimi, czy też oczekiwał ich przy swoim ekspozycie, ale wydaje się nie do pomyślenia, że mógł być tego dnia nieobecny!

A miało to miejsce we czwartek 23 sierpnia („Gazeta Lwowska” i „Kurier Lwowski” z 24.08.1894 roku). Już o wpół do siódmej rano na dworzec zajechał specjalny pociąg, z którego wysypała się cała ta gromada i ruszyła, jak to wówczas było w zwyczaju, po błogosławieństwo najpierw do cerkwi św.

Jura (grekokatolickiej), a następnie do katedry rzymskokatolickiej. Grupa ta była tak liczna, gdyż reprezentowała całe społeczeństwo powiatu stryjskiego: wszystkie wyznania, wszystkie stany (szlachta, robotnicy i włościanie) i korporacje zawodowe z miast i wsi. O godzinie 8 część z nich (głównie panie) przewieziono na Wystawę omnibusami, ale większość uformowała długą kolumnę i pomaszerowała piechotą. Przygrywała im „kapela izraelicka”, gdyż wśród nich byli także Żydzi oraz koloniści. Niesiono korporacyjne chorągwie, a Bojkowie z Karpat ubarwiali ten pochód kolorowymi strojami. Młodzieży towarzyszyło 110 nauczycieli (!). Na czele prowadził ich marszałek powiatu stryjskiego, hr. Karol Dzieduszycki, w otoczeniu wójtów (90!) i burmistrzów. Jednym słowem była tam cała elita władz powiatowych.

Przed główną bramą oczekiwał ich Dyrektor Wystawy dr Marchwicki z przemówieniem, w które oprócz zwykłych zapewnień o jedności i zgodzie narodowej wkładły się pewne nuty świadczące o tym, że nie wszystko było takie różowe. Wspomniał bowiem, że są tacy, co *ciągnęły kłamstwem, ciągnęły jątrzeniem chcieliby zakłócić spokój naszej Wystawy*. Wiązało to się zapewne z rozłamem w ramach ruchu ruskiego (ukraińskiego), który wspierał współpracę z Polakami. W półtora miesiąca później (11 października) konkretnym tego rezultatem była dymisja rusińskich członków Rady miasta Stryja, co zapoczątkowało długi okres kryzysu w stosunkach polsko-ukraińskich, nie tylko w tym mieście. Następnie rozpoczęto wizytę, która była niezwykle dobrze zorganizowana: całość była podzielona na cztery grupy noszące kotyliony odmiennego koloru. Każda z nich miała inny program, tak żeby nie tworzyć zatorów. Wyobrażać więc sobie można, że Wiktor miał cały dzień pełne ręce roboty, wyjaśniając ciekawym współmieszkańcom Stryja funkcjonowanie swojego dzieła. Ale najważniejsze, co dla mnie jest bardzo, bardzo prawdopodobne, że to właśnie tego dnia, jak to zapisał Marian: *przystąpił do ojca poważny starszy pan i zapytał ojca o nazwisko*. Mógł być to ktoś z tej elity władzy stryjskiej. Bolechów wprawdzie należy do powiatu dolińskiego, ale jest odległy zaledwie o 2 km od granicy powiatów...

Po tych emocjach Wiktor mógł opuścić Lwów razem z wycieczką pociągiem o 11

<sup>1</sup> „Kurier Lwowski” z 10.09.1894, s. 2





Cesarz przed Pawilonem przemysłowym (w głębi Pawilon sztuki)

wieczorem. Chyba tak zrobił, bo za dwa tygodnie musiał powrócić, by uczestniczyć w apogeum Wystawy – **wizycie Najmilszego Cesarza i Króla Austro-Węgier Franciszka Józefa I, która miała się odbyć od 7 do 12 września**. Było to szczególnie doniosłe, gdyż poprzedni pobyt monarchy we Lwowie datował z 1880 roku, a planowana w 1892 roku wizyta została odwołana w ostatnim momencie. Przygotowania do niej były niezwykle skrupulatne. Wyznaczono dokładnie miejsca, gdzie i jaka korporacja miała stać, w jakim szyku itp. W dniu przyjazdu Pawilon przemysłowy miał być zamknięty dla publiczności do 5 po południu, a wystawcy byli proszeni o stawienie się w strojach wizytowych przy swoich eksponatach najpóźniej do trzeciej (wchodzili, ze względów bezpieczeństwa, bocznymi wyjściami). Mieli pozostawać przy nich aż do wyjścia monarchy. Inni wystawcy mieli tworzyć szpaler od głównej bramy pod Pawilon przemysłowy.

Tak więc pociąg cesarski dowiózł Monarchę na dworzec kolejowy planowo w piątek 7 września dokładnie o godzinie jedenastej minut jedenaście (*sic!*). Po oficjalnej ceremonii powitania na samym dworcu (gdzie go witał po polsku i rusku marszałek Sejmu krajowego ks. Sanguszko) monar-

cha zatrzymał się pod łukiem triumfalnym, wzniesionym specjalnie na tę okoliczność przed dworcem ponad ul. Grodzką, gdzie prezydent Lwowa Mochnacki wręczył mu symboliczne srebrne klucze miasta. Wokół zebrały się (pomimo chłodu i wiatru) tłumy publiczności z takim zapałem, że w pewnym momencie przerwano kordony ochotniczej straży obywatelskiej, ale dzielni strażacy w mig opanowali sytuację.

Po wizycie w gmachu namiestnikowskim oraz licznych audiencjach cesarz dotarł na wystawę ok. 4 po południu. Przywitany u bramy przez Komitet w pełnym składzie przeszedł wśród szpaleru wystawców i publiczności do Pawilonu przemysłowego.

Wiktor zobaczył go dopiero wychylając się zza swojego filara, gdy cesarz wstąpił na podwyższenie z tronem. Podobnie jak kiedyś arcyksiążę Karol Ludwik, on również na nim nie usiadł i na stojąco wysłuchał przemówienia. Pewnie był to taki demokratyczny gest. Tak jak poprzednio, przemawiali najpierw ks. Adam Sapieha (po polsku), a po nim dr Sawczuk (po rusku). Pełno w tych mowach było hołdów wiernopoddańczych, zapewnień o lojalności oraz odwoływania się do *Ojcowskiego oka* (Sapieha) i do *Ojcowskiej łaskawości* (Sawczuk). Były burze oklasków i okrzyki *Niech żyje!* i *Mnohaja lita!*

Wiktor pewnie też klaskał i wykrzykiwał razem z innymi. Niestety, nie ma zdjęć z tej podniosłej chwili.

O godzinie wpół do piątej cesarz zaczął zwiedzać Pawilonu od lewego skrzydła i *zaszczycił rozmową każdego niemal wystawcę*. Przeciągnęło się ono aż do szóstej. Oprowadzał namiestnik Badeni. Niestety brak dokładnych relacji z tej wizyty. Z późniejszych wzmianek w „Kurierze Lwowskim” dowiadujemy się, że interesował się wyrobami optycznymi prof. Biasika z Krakowa (n° 742), które były wystawiane u wejścia do lewej części połaci głównej, oraz wyrobami papierniczymi Berla Seklera. I to wszystko. Jest to bardzo dziwne, bo w przypadku relacji z innych oficjalnych wizyt takich szczegółów jest więcej. Być może było to celowe, by uniknąć podejrzeń o faworyzowanie tego lub innego wystawcy. Przed wizytą cesarza ukazało się bowiem ostrzeżenie przed różnego autorytetu fałszywymi reporterami, proponującymi niektórym wystawcom publikowanie pochlebnych opinii za łapówkę. Można więc tylko sobie wyobrazić, że Wiktor również został „zaszczycony” monarszym zainteresowaniem, choć o takim doniosłym wydarzeniu pewnie w rodzinie zachowałyby się jakaś legenda...

W następnych dniach cesarz odwiedził Wystawę jeszcze wielokrotnie. Były więc to dni wzmożonej frekwencji, co mogło skłonić Wiktora do pozostania we Lwowie. Choćby tylko do niedziel, kiedy to w południe odbył się w teatrze imienia hr. Skarbka bardzo uroczysty koncert Związku Towarzystw muzycznych i śpiewaczych polskich i ruskich. Wprawdzie cesarz się tam nie udał, ale wiadomo, że Wiktor bardzo lubił śpiew i sam śpiewał, przygrywając sobie na fisharmonii. W programie były zarówno śpiewy chóralne i liryczne, jak i twory instrumentalne. Z Paryża przyjechała pianistka Antonina Szumowska (uczennica Paderewskiego), a z Warszawy sławna śpiewaczka Helena Weychertowa. Pierwotnie na jej miejsce zapowiadano inną sławę Macellę Sembrich-Kochańską zza oceanu, zapewne bliską sercu Wiktora z racji jej związków z Bołchowem<sup>2</sup>. Wieczorem, po koncercie, mógł

uczestniczyć na Wystawie w niezwykłym widowisku na obszernym placu wokół fontanny świetlnej, z udziałem cesarza, dla którego przed restauracją Baczyńskiego ustawiono łożę. Cała okolica fontanny była udekorowana ponad 1000 lampionów oraz 300 lampkami żarowymi. Zgromadziło się ok. 50 000 (!) publiczności, wielokrotnie więcej, niż pierwotnie przewidywano. Mam nadzieję, że dla wystawców były zarezerwowane jakieś dobre miejsca... O 8.15 przyjechali arcyksięstwo Leopoldowie, a kwadrans później sam cesarz. Były entuzjastyczne okrzyki, a potem chór odśpiewał kilka pieśni. Potem nastąpił pokaz różnych efektów wodnych: były róże, bukiety kolorowo oświetlane itp. Ale całe widowisko nie trwało dłużej niż 15 minut. Potem cesarz przeszedł piechotą wśród wiwatujących szpalerów pod Pawilon sztuki, gdzie wsiadł do pojazdu i odjechał... Reporterzy zachwycali się więc nie tylko widowiskiem, lecz także wzorową organizacją tak olbrzymiej widowni. Była to dla Wiktora jeszcze jedna okazja do zobaczenia go z bliska.

Niezależnie od tego Wiktor miał jeszcze ważniejszy powód do obecności na Wystawie. Otóż w tym czasie zaczęły się obrady Komitetów sekcji w celu wyłonienia i ukonstytuowania się poszczególnych jury, które miały zdecydować o przyznaniu nagród i wyróżnień. Z całą pewnością przed podjęciem decyzji każde jury robiło obchód wystawionych eksponatów, by sobie wyrobić o nich opinię. Obecność wykonawców była więc niezbędna, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o nowatorskie rozwiązania. Najwcześniej, bo 5 września, ukonstytuowało się jury sekcji XXVII dla grup XXXII (komunikacja) i XXXIV (patenty). Prezesem został wybrany Edward Heppe, nadinżynier w ck kolejnictwie (późniejszy prezes Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie), a referentami technicznymi – pan Rutkowski (który nie figurował wśród członków Komisji) oraz profesor Roman Dzieślewski, twórca pierwszego oddziału elektrotechnicznego Politechniki Lwowskiej. Warto nadmienić, że jego brat Walerian też był członkiem tej Komisji. Był on autorem niezrealizowanego projektu budowy kolejki parowej z Zakopanego na przelęcz Świnicką... Pomiędzy pozostałymi członkami Komisji brak było przedstawicieli wystawców z dziedziny ze-

<sup>2</sup> Komorowska Małgorzata, *Macella Sembrich-Kochańska. Życie i śpiew*. Errata, Warszawa 2008.

garmistrzostwa. W tydzień później Komisja XII sekcji wyłoniła jury dla grupy XIV (m.in. zegarmistrzostwo). Prezesem został rektor Politechniki Lwowskiej dr Placyd Dziwiński – profesor matematyki, referentem technicznym zaś kustosz Muzeum Przemysłowego Władysław Rebczyński. Rzeczą ciekawą jest, że obaj nie figurują na liście członków tej Komisji opublikowanej przez dyrekcję Wystawy<sup>3</sup>. Znalazło się na niej natomiast aż trzech wystawców-zegarmistrzów: Tadeusz Miłaszewski, którego zakład istniał we Lwowie już od 1866 roku, Jan Seltenreich, który najpierw pracował w Wiedniu, a od 1886 roku otworzył zakład we Lwowie (późniejszy przełożony cechu zegarmistrzów), oraz, jak już wspomiano, ceniony opiekun zegara ratuszowego **Józef Weiss**.

Wyobrażam sobie, że okres oczekiwania na wyniki wydawał się Wiktorowi niezmiernie długi. Nie wiadomo też, w jaki sposób został o nich powiadomiony. Faktem jest, że o nagrodzonych patentach dowiedział się najpóźniej 27 września z piątej strony „Kuriera Lwowskiego”. Niestety jego nazwiska tam nie było. Jedynym nagrodzonym zegarmistrzem był Józef Weiss, który za swój „zegar rozmiarów wieżowych” dostał srebrny medal Komitetu Wystawy. Ciekawe, że nie dodano „własnego pomysłu”, a przecież nagradzano nowatorskie rozwiązania, a nie rozmiary... Podobnie było z opisem zegara Wiktora. W tej grupie bowiem jego dzieło figurowało jako „zegar z kurantem”, co pomijało oryginalne i skomplikowane mechanizmy wskazujące różne parametry wpływającego czasu. Za najbardziej pomysłowy (złoty medal) uznano świder do wiercenia wielobocznych otworów oraz iskrochron do chwytania i gaszenia iskieł z lokomobili, co odzwierciedlało potrzeby rozwijającej się komunikacji elektrycznej. Po tym rozczarowaniu musiał odczekać trzy dni, by na stronie czwartej „Kuriera Lwowskiego” z 30 września 1894 roku znaleźć jakieś pocieszenie. W grupie XIV Komitet Wystawy przyznał mu bowiem list pochwalny za **zegar szafkowy własnego pomysłu**. Oprócz niego było nagrodzonych jeszcze czterech zegarmistrzów: firma Patek Philippe i Ska,

niejako poza konkursem, otrzymała dyplom honorowy Wystawy, Józef Weiss ponownie srebrny medal Komitetu Wystawy za (tym razem) „zegar ścienny”, Michał Mięśowicz z Krosna za „zegar własnego wyrobu ręcznego” (brązowy medal Komitetu Wystawy) oraz Tadeusz Miłaszewski za „zegar kieszonkowy ręcznej roboty” (list pochwalny). Ogółem Komitet Wystawy uhonorował 56 wystawców, a ponadto przyznano 12 odznaczeń rządowych. Można więc powiedzieć, że co drugi wystawca z tej grupy dostał jakieś odznaczenie.

Trudno sobie wyobrazić, z jakim uczuciem nasz pradziad przyjął to wyróżnienie. Z jednej strony mógł się poczuć usatysfakcjonowany tym, że znalazł się w doborowym gronie znanych i cenionych zegarmistrzów lwowskich (Weiss, Miłaszewski), ale z drugiej strony dostał najniższe wyróżnienie, które być może, w jego odczuciu, nie odpowiadało ogromowi pracy włożonej w to dzieło. Niewątpliwie fakt, że Weiss i Miłaszewski byli członkami Komitetu tej sekcji mógł pomóc im w promocji ich zegarów. Ale Jan Seltenreich ze Lwowa też był członkiem Komitetu (później nawet we władzach cechu), a za swój stojący zegar żadnego odznaczenia nie dostał. Podobny zaś w charakterze do Wiktora zegar Michała Mięśowicza, który był wyżej oceniony, miał poważny atut, gdyż był wykonany całkowicie bez pomocy maszyny, co w kryteriach jury musiało się liczyć. O tym, czy Wiktor używał jakichś maszyn wprawdzie nic nie wiadomo, ale gdyby się posługiwał tylko swoimi rękoma, to pewnie wysunąłby ten argument na pierwsze miejsce. A tego nie uczynił. No i wreszcie dla polepszenia jego samopoczucia mogło nie być bez znaczenia, że z trzynastu wystawców zegarów (bez Patka) zajął trzecie miejsce (wspólnie z Miłaszewskim). Ponadto jeżeli chodzi o grupę patentową, pocieszające mogło być to, że zegar Bernarda Stiela z Krakowa, który też był własnego pomysłu i do tego nakręcany w sposób zupełnie nowy, został całkowicie pominięty.

Z całą pewnością natomiast Wiktor odczuwał wielką satysfakcję z echa, jakie jego dzieło wzbudziło w dwóch najpoczytniejszych dziennikach lwowskich i w jednym z tygodników wiedeńskich. Zaczęło się to już w lipcu, gdy w „Kurierze Lwowskim” (4.07.) na stronie drugiej zamieszczono specjalną

<sup>3</sup> Dwernicki Tadeusz „Historia i organizacja Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie” Wydział Krajowy, Lwów 1897

notatkę poświęconą zegarowi Wiktora. Reporter opisał go szczegółowo na 30 liniach kończąc: *Jest to najpiękniejszy twór fantazji oraz mechanizmu na naszej wystawie*. Ni mniej, ni więcej! Następne relacje pojawiły się już po ogłoszeniu wyników. Najpierw, co jest bardzo zdumiewające, w wiedeńskim tygodniku „Montags Zeitung” z 1 października (s. 3). I tutaj chodzi o ok. 30-liniową notatkę specjalną, która w tonie przypomina poprzednią, ale podaje inne szczegóły, nie mogła więc być po prostu tłumaczeniem. Kończy się stwierdzeniem, że zegar ten spotkał się z żywym zainteresowaniem i wzbudził jednomyślny podziw zwiedzających. Nie wiadomo, skąd ów reporter zaczerpnął te informacje. Albo sam zwiedzał Wystawę (nie ma po tym jednak śladu w relacjach dzienników lwowskich), albo... miał dobrego informatora w osobie Aleksandra, brata Wiktora, który w owym czasie mieszkał w Wiedniu, prawdopodobnie w dzielnicy Leopoldstadt, w której ten tygodnik był wydawany... Niemniej jednak dodawało to zegarowi splendoru. Dwie pozostałe relacje pochodzą z ogólnych opisów zbiorów Pawilonu przemysłowego. W „Gazecie Lwowskiej” z 7 października (s. 5) całemu działowi zegarmistrzostwa poświęcono zaledwie 18 linijek, ale 12 z nich przedstawiało dzieło Wiktora! Poza Patkiem i Gostowskim z Genewy nie wspomniano żadnych innych... Bardziej szczegółowa jest relacja zamieszczona w „Kurierze Lwowskim” z 13 października. Na 76 liniach wymienia wszystkich wystawców obiektów zegarmistrzowskich, ale i tutaj prawie połowa tekstu poświęcona jest zegarowi Wiktora, podczas gdy opisy realizacji Mięśowicza (brązowy medal) i Weissa (srebrny medal) zajmują odpowiednio 6 i 5 linijek. Ponadto wiele daje do myślenia zdanie: *Nie wiem, czy jury było łaskawe na zegarmistrza stryjskiego, Wiktora Wasilewskiego, który wystawił rzecz oryginalną, gdyby nie kilka usterek, bardzo piękną*. Sugeruje ono, że zegar ten nie był przez jury należycie doceniony. Wskazuje również na ewentualną przyczynę tego niedocenienia – niezbyt gustowne dobranie tonacji rzeźb (z jasnego drzewa) do czarnych kapticzek. Tak więc chodziłoby raczej o wystrój niż o stronę techniczną. Szkoda. Pomimo usiłowań nie znalazłem innych relacji wspominających dzieło Wiktora. Oczywiście nie

znaczy to, że ich nie było więcej. Ale i te, które znalazłem, są wystarczająco pochwalne, by chociaż po części wynagrodzić lata pracy i nakłady finansowe oraz zadość uczynić ewentualnym uszczerbkom na poczuciu własnej wartości naszego pradziada.

Tak więc pomału Wystawa dobiegała końca. Do 1 października należało zgłosić do Dyrekcji ekspozycję do organizowanej w dniach 9–15.10. wielkiej wyprzedaży z podaniem minimalnej ceny. Nie wiadomo, czy Wiktor zgodził się na przecenę. Ale nawet jeśli tak, okazało się to nieskuteczne: zegar nie został sprzedany i wrócił do Stryja, by później przez długie lata leżeć na strychu domu wybudowanego w Bolechowie. Nie wiadomo również, czy brał udział w uroczystym zamknięciu Wystawy, którego ceremonia rozpoczęła się o trzeciej po południu 16 października w Pawilonie przemysłowym. Przemówienia trwały przeszło półtorej godziny. Książę Adam Sapieha gratulował wszystkim sukcesu, przedstawiciel Rusinów dr Roman Sawczuk podkreślał wielką korzyść moralną z Wystawy dla wszystkich, marszałek Sanguszko chwalił współpracę pomiędzy dwoma bratnimi narodami, składał wszystkim podziękowania i podkreślał (podobnie jak inni) wielkie przywiązanie do monarchy. Długą listę podziękowań wszystkim organizatorom za dwuletni okres wyjątkowej pracy złożył również dyrektor Wystawy, Marchwicki. Przemawiali także przedstawiciele wystawców. Tak więc ok. piątej po południu książę Sapieha ogłosił uroczyste zamknięcie Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie. Po tej oficjalnej uroczystości zamknięcia Wystawa była jeszcze wprawdzie czynna przez pięć dni do 21 października (i do tego po obniżonych cenach biletów), ale wiele pawilonów i restauracji było już zamkniętych, a i w pozostałych pewnie było już wiele pustych miejsc...

Według oficjalnych danych w ciągu całego trwania Wystawy zwiedziło ją dokładnie 1 146 329 osób, co było niewątpliwie ogromnym sukcesem.

Dla Wiktora Wasilewskiego też kończył się pewien ważny etap życia, jednocześnie otwierając przed nim nowe, pomyślne perspektywy, których skromnym efektem jest piszący te słowa...

To było rzeczywiście **przeznaczenie**.

# Z KRESÓW WSCHODNICH NA ZACHODNIE RUBIEŻE. DROGA Z PODOLA NA ZIEMIĘ LUBUSKĄ

Z Andrzejem Chłopeckim,  
majorem w st. sp. z Oświęcimia  
rozmawia Zbigniew Wawszczak



Latem 1945 roku do wsi Głuchowo (*Woxfelde*) na Ziemi Lubuskiej u ujścia Warty do Odry przybyła grupa dawnych mieszkańców wsi Wasylkowce na Podolu. Wśród przybyszów był pana dziadek i siostry ojca. Pański ojciec wówczas służył w wojsku. Panie majorze, proszę opowiedzieć, jak w świetle rodzinnych opowieści wyglądał dramat mieszkańców podolskiej wsi Wasylkowce, zmuszonych do opuszczenia rodzinnych siedzib i wyjazdu w bydłych wagonach towarowych na Zachód?

Wydarzenia te poznałem z opowiadań moich ciotek, siostr mojego taty. Najbar-

dziej jednak koszmar wysiedlenia z rodzinnych stron i podróż na tzw. Ziemię Odzyskane poznałem z lektury książki napisanej przez przyjaciela rodziny Chłopeckich, pana Edmunda Kunickiego. Drogę z Kresów Wschodnich na zachodnie rubieże Polski powojennej i ich zasiedlenie, opisał pan Edmund w historii swojej rodziny, zatytułowanej *Silva rerum*. Książka ta zajmuje szczególne miejsce w mojej prywatnej, okazałej bibliotece. Jest dla mnie kopalnią wiedzy o rodzinnej wsi Chłopeckich – Wasylkowcach oraz rozpoczęciu nowego życia po tragedii wygnania z rodzinnych stron. Podłość i perfidia sowieków była wręcz niewyobrażalna. Na stacji kolejowej w Husiatynie ładowano przesiedleńców do wagonów towarowych. Zwierzęta, przeważnie krowy, umieszczano w wagonach krytych (*sic!*), natomiast ludzi w wagonach odkrytych. Cel takiego działania wydaje się jasny. Tysiące kilometrów podróży w odkrytym wagonie w różnych warunkach pogodowych mogło spowodować choroby i śmierć wielu wygnańców. I wydaje się, że sowiekom o to właśnie chodziło. Przykładem tego może być moja babcia Fryderyka, która nie dojechała na Ziemię Lubuską. Ze względu na zły stan zdrowia babci dziadkowie wysiedli z transportu na stacji w Gliwicach i osiedlili się w pobliskiej Paczynie. Tam 28 lipca 1945 roku babcia zmarła.

Z Paczyną wiąże się niezwykle zdarzenie z udziałem mojego taty. Dostał on urlop z wojska, aby odnaleźć przesiedloną rodzinę. Bardzo późnym wieczorem dotarł pociągiem na stację w Gliwicach, gdzie do rana czekał na możliwość transportu do Paczyny. Do wsi dotarł przed południem. Rozpytywał o nowych przybyszów, ale bez powodzenia. Słońce grało niemiłosiernie. Zmęczony i zrezygnowany niepowodzeniem poszukiwań rodziny usiadł przy drodze, aby odpocząć i wracać do jednostki. Gdy siedział nad przydrożnym rowem, podbiegł do niego pies. Serce tacie zabiło jak młotem, był to ich kresowy psiak wabiący się Bimbo. Uradowany jego widokiem tato powiedział: *Bimbo, prowadź do domu*. I psiak zaprowadził go do domu zasiedlonego przez dziadków. Niestety swojej mamy już tata nie zobaczył, zmarła na obcej sobie ziemi, zanim zdążył wrócić z frontu jej ukochany syn. Dziadek opuścił Paczynę i przeniósł się do Jarnoł-

towa koło Nysy, gdzie osiedliła się również jego siostra Maria Karczewska z wnukiem Edmundem, którego wychowywała. Mama Edmunda zmarła przedwcześnie, a ojciec, wachmistrz Józef Jajuga, kawalerzysta 13 Szwadronu KOP, został zamordowany przez NKWD w więzieniu w Berdyczowie. W tej wsi osiadło również kilka rodzin z Wasylkowiec. Z dziadkiem w Jarnołtowie do początku lat pięćdziesiątych mieszkała siostra taty Helena i starszy brat, a z nimi mój kuzyn Jerzy, syn stryja Kazimierza zamordowanego przez Niemców w obozie Auschwitz.

Po demobilizacji ojciec również osiedlił się w Jarnołtowie, ale nie na długo. W 1952 roku został ponownie powołany do wojska i skierowany najpierw do Brzegu nad Odrą, a następnie do Gubina nad Nysą Łużycką. Zdążył tam jednak poznać moją mamę, która z Narola przyjechała na Ziemie Odzyskane i otrzymała posadę nauczycielki w Jarnołtowie. Tam wzięli ślub i tam też urodziła się moja siostra.

Wracając do podróży przesiedleńców, to można ją określić jednym słowem – koszmar! Mieszkańcy Wasylkowiec ponad tydzień oczekiwali na stacji kolejowej w Husiatynie na podstawienie transportu do nowej Polski. Wagony podstawiono 8 czerwca 1945 roku w południe. Do odkrytego wagonu służącego do przewozu węgla, ładowano po dwie rodziny z całym dobytkiem, jaki mogli zabrać. Nie było więc żadnej osłony ani przed deszczem i wiatrem, ani przed słońcem. Nie mówiąc już o higienie osobistej i potrzebach fizjologicznych. Z tobołów, w których była spakowana „materialna część życia” w ojcowiznie, stanowiąca tułaczy zadatek na budowanie

przyszłości w nowym miejscu, tworzyli – jak pisze pan Edmund Kunicki – *coś w rodzaju eskimoskiego igloo, uszczelnionego kocami*. Transport ruszył razem z zachodem słońca, wioząc wygnańców w nieznaną. Wagony z załadowanymi w Husiatynie mieszkańcami Wasylkowiec były początkiem transportu. W Kopyczyńcach dołączono kilkanaście wagonów przybyłych z Czortkowa i okolic. Po drodze dołączano kolejne i ostatecznie w składzie było ponad 60 wagonów.

Początkowo pociąg wleczę się, stając co jakiś czas na bocznicach, aby przepuścić transporty wojskowe. Na stacjach etapowych stoi od kilku do kilkunastu godzin. W tym czasie trzeba nakarmić i napić zwierzęta. Podczas dłuższych postojów obok torów rozpalane są ogniska, przesiedleńcy przygotowują ciepły posiłek. Zdarzało się, że na bocznicę pociąg z Polakami stawał obok transportu wojskowego. Sowieccy żołnierze szukają wódki i dają w zamian konserwy – słynne wojenne *swinne tuszonki*. Był to sposób, aby od czasu do czasu wzbogacić kurczące się zapasy żywności. Transportowani Polacy nie mieli kontaktu z ludnością mijanych miejscowości, gdyż transport zatrzymywał się na bocznicach towarowych odległych od siedzib ludzkich. Byli więc odcięci od informacji o Polsce i świecie. Zdarzało się, że manewry składem o 60 wagonach wykonywano bardzo brutalnie. W Kozielnikach pod Lwowem zdenerwowani ludzie wdarli się do lokomotywy i chcieli pobić maszynistę. Manewry pociągiem spowodowały silne uderzenia wagonów, co wywołało panikę wśród przewożonego bydła, które o mało nie strato-

wało obsługujących ludzi. Najdłuższy postój miał miejsce pod Gródkiem Jagiellońskim. Było południe i cały transport wyległ na pole. Zapalono dziesiątki ognisk, na których gotowano posiłki. Dużo ludzi udało się do pobliskiego jeziora, aby urządzić kąpiel i pranie.

Jednym z poważnych problemów było wychodzenie i wchodzenie do wagonów. Jeśli pociąg nie zatrzymywał się przy rampie, wysokość od podłogi wagonu do ziemi wynosiła ponad półtora metra. Dla osób starszych, chorych i kobiet była to bariera nie do pokonania. Dochodziło więc

Wagon kolejowy typu węglarka



do nieszczęśliwych wypadków. Ojciec p. Edmunda pośliznął się na pokrytym smarem zderzaku i upadł tak nieszczęśliwie, że stłukł sobie boleśnie kręgosłup. Podróż w takim stanie stała się jeszcze większym koszmarem. Z pomocą choremu, co może wydać się dziwne, przyszedł radziecki oficer – lekarz. Na ostatnim większym postoju w Sądowej Wiszni transport przesiedleńców stał między transportami wojskowymi – jeden ze sprzętem, drugi z żołnierzami. Sowieccy żołnierze byli podpici i agresywni, chodzili między wagonami domagając się wódki i wchodzili nawet do wagonów przesiedleńców. Naprzeciwko wagonu, którym podróżowała rodzina Kunickich, stał wagon z napisem *Medpunkt* (skrót od słów medyczny punkt). W drzwiach pojawił się sympatycznie wyglądający sowiecki oficer. Na pytanie, czy mają lekarza, bo w wagonie jest chory i cierpiący, wszedł do wagonu Polaków i przedstawił się elegancko pani Kunickiej. Zbadał chorego, przyniósł maść, leki przeciwbólowe, dwa chleby i puszkę konserwy. Chętnie rozmawiał i interesował się losem przesiedleńców. Pani Kunicka żaliła się, że nie może się odwdziżyć, bo nawet ciepłej herbaty nie pili kilka dni. Kapitan Konstany (niestety p. Kunicka nie zapamiętała nazwiska) wyszedł i po chwili wrócił z czajnikiem wrzątku, herbatą i cukrem. Opowiadał o wojnie, której nie znosił. O tym, że na froncie spotykał wielu Polaków i lubił przebywać w ich towarzystwie. Widać sowiecki system nie we wszystkich Rosjanach zabił ludzkie uczucia.

Po kilku godzinach jazdy transport dociera do stacji granicznej Szezhynia, za którą jest już Polska. Pociąg został obstawiony wojskiem. Nie wolno wysiadać z wagonów. Zaczyna się kontrola dokumentów. Paszportem jest „Karta Ewakuacyjna”, dająca prawo przekroczenia granicy tylko osobie do niej wpisanej. Oficer sowiecki, trzymając kartę w ręce, pyta jej właściciela o nazwisko i datę urodzenia. Na koniec sakramentalne pytanie: *Bolsze nikawo niet?* („więcej nikogo nie ma?”). I tak po wszystkich wagonach. Po sprawdzeniu dokumentów do akcji wkraczają żołnierze. Przewracają toboły i worki, szukając, czy ktoś się nie ukrył. Po kontroli zakończonej późnym wieczorem transport rusza i mknie z niespotykaną dotąd prędkością.



Klementyna Chłopecka z psem Birbo

W środku nocy śpiących i zmęczonych Polaków budzi bezruch pociągu. Na zewnątrz rozlegają się głosy i kroki nadchodzących osób. Zaspani ludzie początkowo nie mogą rozpoznać, czy to swoi czy Rosjanie. Po chwili drzwi wagonu, które można było otworzyć tylko od zewnątrz, otwierają się z hukiem. Do wagonów wdrapuje się kilka osób i żądają „Karty Ewakuacyjnej”. Jest ciemna noc, kontrolujący mają zawieszzone na piersiach latarki, które oślepiają podróżnych i nie pozwalają rozpoznać ani twarzy, ani mundurów. Są podejrzliwi i mało sympatyczni. Pozostawiają po sobie niemiłe wrażenie. Rano wygnańcy z Kresów dowiadują się, że transport zatrzymał się w Przemyślu. Do miasta oczywiście daleko, a wokół stoją transporty wojskowe. Kolejarze informują, że pociąg z przesiedleńcami pojedzie na Śląsk. Wszystko dokładnie powiedzą pracownicy PUR. Niebawem przychodzą dwie osoby cywilne, kobieta i mężczyzna, z opaskami na rękach z napisem PUR. Reprezentują urząd, który opiekuje się przesiedleńcami. Informują, że dostaną gorącą zupę i chleb. W Tarnowie będzie dłuższy postój oraz możliwość kąpeli. Spotkanie z przedstawicielami polskiej władzy dodaje wygnańcom trochę otuchy. Ktoś o nich wie. Interesuje się i kie-

ruje ich losem. Wieczorem dojeżdżają do Tarnowa. Transport zostaje ustawiony równoległe do wojskowego pociągu sanitarnego. W wagonach są prysznicze z gorącą wodą. W innych kotły z gorącą parą, tzw. „parówki”, w których można „wyparować” – zdezynfekować – bieliznę i odzież. Jest pralnia i suszarnia. W oddzielnych wagonach przyjmują lekarze. Los na chwilę uśmiechnął się do wygnanych z rodzinnych stron Polaków.

Na postoju w Tarnowie, ludzie wypytyują przedstawicieli PUR o miejsca osiedlenia, ale ci niewiele mają do powiedzenia. Jedyna informacja, jaką otrzymali – transport jedzie na Śląsk w okolice Katowic. Pociąg rusza w dalszą drogę, która wydaje się trwać bez końca.

**Chciałbym zapytać, czy Polacy z Wasylkowiec osiedli w Głuchowie bezpośrednio po opuszczeniu transportu ekspatriacyjnego czy raczej był to dłuższy proces tułania się po ziemi, która wydawała się przybyszom obca i nieprzyjazna.**

Status transportów przesiedleńców otrzymywały pociągi składające się z towarowych wagonów, w których wygnani z Kresów Wschodnich Polacy rozpoczynali swoją podróż w nieznaną. Pierwszymi przystankami tych transportów były miasta na Śląsku, gdzie część wygnańców kończyła podróż z nadzieją rozpoczęcia nowego i może lepszego życia. Na terenie Polski pociąg jedzie szybciej i ma mniej jałowych postojów. Po wjeździe na Śląsk przesiedleńcy są zaskoczeni widokami. Gęsta zabudowa miast nie pozwala na orientację, gdzie kończy się jedna miejscowość, a zaczyna druga. Pociąg co chwilę zwalnia, aby znowu

przyspieszyć, aż wreszcie się zatrzymuje. Część składu stoi na wiadukcie, z którego rozciąga się widok na miejscowość. Miasto nie podoba się ludziom. Domy prawie jednokowe, z czerwonej, poczerńiałej cegły, stare i brudne ulice, puste i bez drzew. Podróżnicy wychodzą z wagonów, dyskutują, wymieniają poglądy. Myślą, że to Katowice, ale miasto się im nie podoba. Są jednak osoby, które chcą zostać z przekonaniem, że tu łatwiej będzie o pracę. Transport zostaje podstawiony pod rampę, ale ludzie w większości się buntują i nie chcą wysiadać. Są rolnikami i miejsce ich osiedlenia powinno zapewnić im możliwość robienia tego, co robili całe życie i co potrafili najlepiej. Targi trwają niemal cały dzień, miejsce postoju to Mikulczyce koło Zabrza. Kilka rodzin zdecydowało się wysiąść z transportu. W nocy do pociągu pomniejszonego o kilka wagonów podczepiono parowóz i pociąg ruszył w dalszą drogę.

Dzisiejsza dzielnica Zabrza, Mikulczyce, była dla przesiedleńców, którzy swoim transportem dotarli w drugiej połowie lipca 1945 na Ziemię Lubuską, przystankiem, po którym pociąg utracił status transportu przesiedleńców. Podróż z Mikulczyca stała się uciążliwa. Do pociągu dołączane były składy towarowe i musiał on przepuszczać transporty wojskowe, co wiązało się z częstym oczekiwaniem na bocznicach oraz przetażaniem składu na inne tory. Cel podróży to kolejny „punkt docelowy” – Opolo, gdzie wsiadają kolejne rodziny. Na tym przystanku do wagonów podchodzą kobiety z dziećmi i proszą o jedzenie, mówiąc trochę po polsku, a trochę po niemiecku. To autochtoni,

którzy pozostali bez środków do życia. To zdarzenie wywołuje dyskusję i pytania, co tutaj robią Niemcy i czy będzie trzeba mieszkać w ich sąsiedztwie. Pracownicy PUR uspokajają, że autochtoni są systematycznie wywożeni do Reichu, a opóźnienia wynikają z braku wagonów.

O miejscu osiedlenia w pierwszej kolejności decydowały kończące się zapasy żywności. Miasta wybierali ludzie mający za-

Dom w Paczynie





wód, licząc na szybsze znalezienie pracy. Duże znaczenie miała też przyjaźń między rodzinami żyjącymi na Kresach w bliskim sąsiedztwie. Takie rodziny często solidarnie wysiadali razem w jednej miejscowości. Miejscowościami, w których wysiadali z transportu Podolanie, a wśród nich mieszkańcy Wasylkowic, były Gliwice, Opole i Kluczbork, gdzie osiedliła się liczna grupa kresowian.



Gluchowo, kościół i wwieś, widok z lotu ptaka

Rolnikom pracownicy PUR proponowali okolice nad morzem albo u ujścia Warty. Po naradzie sąsiedzkiej, którą zainicjował pan Antoni Kunicki, pozostający w transporcie mieszkańcy Wasylkowic postanowili jechać nad Wartę. Ziemia tam urodzajna, a tereny wyludnione, jak zapewniali urzędnicy PUR. Po jakimś czasie pan Kunicki powiedział, że duże znaczenie na wybór miejsca osiedlenia miała właśnie rzeka. Polska rzeka Warta dawała poczucie bezpieczeństwa wygnanym Polakom, osiedlającym się na byłych terenach niemieckich.

Ostatni etap podróży rozpoczął się w smutnych nastrojach. W transporcie pozostało kilka wagonów. Większość krajanów wysiadła. Ostatnie pożegnanie ze znajomymi i bliskimi na rampie w Kluczborku uświadomiło wygnańcom, że rozpada się dawna wspólnota rodzinnej wsi – pozostawionych daleko na Podolu Wasylkowic. W tym smutnym nastroju rozpoczął się ostatni etap podróży: wędrówki w poszukiwaniu swojego miejsca w nowej powojennej ojczyźnie i swojego nowego domu.

W nocy z wtorku na środe – 24/25 lipca 1945 roku – transport przybywa do stacji Landsberg, dzisiejszy Gorzów Wlkp. Przybyli Polacy jeszcze nie wiedzieli, że ich wędrówka dobiega końca. Rano zmęczonych podróżą budzi pracownica Państwowego Urzędu Repatriacyjnego i informuje, że mogą osiedlać się w samym mieście, jak również w okolicznych wioskach.

W biurze Generalnego Pełnomocnika Rządu do Spraw Repatriacji otrzymują polecenie wylądowania się do wieczora na peron (dzisiejszy peron 6) oraz dostają przydział zupy i chleba. Pracownicy urzędu na nie-

mieckiej mapie pokazują okolicę i zachęcają przybyłych do osiedlenia się w Dolinie Warty, na urodzajnych ziemiach zmeliorowanych terenów ujścia rzeki. Po naradzie przybyli Kresowianie zgadzają się na pozostanie i osiedlenie w okolicy, trzeba tylko cierpliwie poczekać na zorganizowanie transportu przez urząd. Oczekiwanie na zrujnowanym dworcu, pełnym pijanych sowieckich żołdaków z transportów wojskowych wracających z frontu stojących na sąsiednich peronach, nie było ani przyjemne, ani bezpieczne. Pijani czerwonoarmiejcy płaczą się po wszystkich peronach w poszukiwaniu alkoholu, gotowi za butelkę wódki oddać zdobyczną złotą biżuterię czy zegarek. Wszystko to wprawiło polskich przybyszów w ponury nastrój. Czarę goryczy przepeliła ulewa, która w drugim dniu po wylądowaniu się z transportu zalała strugami wody koczujących na odkrytym peronie nowych mieszkańców Ziemi Lubuskiej. Deszcz przemoczył nie tylko odzież, lecz również kończące się zapasy żywności. Nad Wartą rozpalają ogniska, aby wysuszyć ubrania, z przemokniętej i zaczynającej fermentować mąki pieką placki. W imieniu przybyłej społeczności codziennie do biura PUR udaje się Antoni Kunicki, aby dowiedzieć się o termin przybycia środków transportu. Należy zwrócić uwagę na osobę Antoniego Kunickiego, który przed wojną był urzędnikiem gminy w Wasylkowcach. Ze względu na swoje doświadczenie samorządowe oraz zdolności organizacyjne stał się on w naturalny sposób przywódcą Kresowian przybyłych na Ziemię Lubuską. Tak mija pięć dni oczekiwania spędzonych na odkrytym peronie, w upale dnia i zimnie nocy, potęgowanym przejmującym wiatrem



wiejącym od strony Warty. Na pocieszenie urząd wydaje koczującym pod gołym niebem chleb i zupę, a z kuchni działającej w budynku dworca dostają gorącą wodę, niesłodzoną kawę zbożową i sól. Postój na stacji w Gorzowie zapisuje się w pamięci przybyłych jako bardzo przykry. Pędzeni tysiące kilometrów w nieznane ludzie czują się opuszczeni. Mają wrażenie, że Bóg i świat o nich zapomnieli.

Wreszcie wygnańcy z Kresów otrzymują oczekiwaną wiadomość. W niedzielę 29 lipca przed południem przyjadą pierwsze podwozy (furmanki). Będzie ich trzy lub cztery, trzeba więc ustalić, kto pojedzie w pierwszej kolejności. Wspólnie zdecydowano, że pierwszeństwo należy się rodzinom z małymi dziećmi. Ludzie pomagają sobie w załadunku. Pierwsza grupa odjeżdża w poszukiwaniu miejsca, gdzie ma rozpocząć nowe życie. Drugą grupą, w której jest między innymi rodzina Kunickich, odjedzie następnego dnia, czyli 30 lipca, w poniedziałek. Ostatnia noc z przerywanym snem mija szybko. Furmanki stoją przed budynkiem dworca. Załadowanie dobytku nie jest rzeczą prostą, gdyż trzeba przechodzić przez tory między wagonami lub tunelem pod torami. Największy problem mają ludzie, którzy przywieźli ze sobą krowy. Zwierzęta trzeba prowadzić okrężną, wskazaną przez kolejarzy, drogą między wagonami. Załadunek dobytku był tak męczący, iż ludzie odwołują wyjazd, aby choć chwilę odpocząć. W południe podwozy ruszają, zaczyna się ostatni etap dalekiej podróży. Furmanki, do których są przywiązane krowy, zostają w tyle, gdyż zwierzęta nie pozwalają na szybkie tempo marszu. Te bez przywiązanych zwierząt wysuwają się na czoło. Mijają po drodze opustoszałe wio-

ski. W jednej z nich wędrujących zatrzymują przesiedleńcy, wypytują skąd są i dokąd jadą – szukają swoich. Po kilku godzinach woźnica furmanki wiozącej rodzinę Kunickich, która wysunęła się na czoło kolumny, zatrzymuje się. To koniec podróży. Informuje, że powinni tu gdzieś być sąsiedzi, których przywiózł wczoraj. W wiosce jest dużo pustych domów, można więc wybierać.

Dobytek łąduje na poboczu drogi w środku wsi, furmanka odjeżdża. Wioska jest pusta, nie widać żywego ducha. Na ścianach domów – napisy w obcym języku, otwarte drzwi i okna, w których brakuje szyb. Przybyłych ogarnia uczucie obcości, potęgowane ciszą, jakiej nie zakłóca nawet wiatr unoszący z ziemi papiery i pierze. Opuszczone domy straszą pustką. W ich wnętrzu połamane meble, na podłodze druki zapisane gotykiem i ogromne ilości fruwającego przy byle podmuchu pierza. Znajomych, którzy odjechali ze stacji w Gorzowie w niedzielę, nie ma. Po godzinie dojeżdżają pozostałe furmanki wiozące sąsiadów. Zaczyna zmierzchać, ludzie nie czują się bezpiecznie. Postanawiają zająć sąsiadujące ze sobą gospodarstwa, skupiając się po dwie, trzy rodziny w jednym domu. To daje poczucie bezpieczeństwa. Kobiety rozpalają ogień i przygotowują posiłek, mężczyźni zabezpieczają drzwi i okna deskami. Zmęczeni, szybko zasypiają na nowej i nie wiadomo czy przyjaznej dla przybyszów ze Wschodu ziemi.

W ciągu kilku dni przetransportowano wszystkich oczekujących na stacji w Gorzowie. Po kilku tygodniach dojechało kilka rodzin z Wołynia, są pojedyncze rodziny z okolic Lwowa, Lublina oraz z Poznańskiego. Mieszkańców podolskich Wasylkowiec jest najwięcej i siłą rzeczy, jako dawni sąsiedzi, trzymają się razem. Są wśród nich między innymi rodziny Baranów, Burkiewiczów, Klementyna Chłopecka, pani Dobrucka, rodzina Korczyńskich, Kowalskich, Muców, Paterów, Pietraszów, Przybyłów i oczywiście Kunickich z głową rodziny panem Antonim, autorytetem dla osiedlających się Kresowian.

Przez dłuższy czas żadna władza nie interesuje się osadnikami. Wśród ludzi panuje powszechne odczucie, że nie są na swo-

im, i nie wiadomo, co dalej będzie. Z niepewnością i obawami o swoją przyszłość rodziny starają się jakoś odnaleźć w nowej rzeczywistości.

**Czy Głuchowo wyszło z wojny bez większych strat, a przybysze z „utraconego raju” zostali rozlokowani w domach i gospodarstwach, które nie zostały ograbione przez „szabrowników”? Czy zamieszkiwali w nich Niemcy, którzy dopiero zaczęli się przygotowywać do wyjazdu?**

Głuchowo nie było terenem objętym bezpośrednimi działaniami bojowymi. Pozostawione przez żołnierzy radzieckich ślady świadczą o tym, iż wioska stanowiła zaplecze dla walczących oddziałów i był w niej rozwinęty szpital polowy.

Wieś jest opuszczona, po niemiecku nazywa się Woxfelde, ale Polacy nazwali ją Stalowa Wola. Nie jest duża, domy są tylko przy drodze. W niczym nie przypomina Wasylkowic, które zostały tysiące kilometrów na wschodzie. Stalowa Wola ma trzy ulice tworzące literę „T”, duży kościół z przylegającym do niego cmentarzem i szkołę z placem sportowym. Niemal we wszystkich domach widoczne są ślady dewastacji. Oprócz wybitych szyb w oknach, bezmyślnie połamane meble, poniszczona naczynia kuchenne. Z podłóg zerwane deski, które chyba stanowiły opał, bo na podwórzach widać ślady ognisk. Wszędzie mnóstwo szkła, papierów i wszechobecnego pierza. Na czerwonym murze budynku szkolnego duży napis *MIN NIET*, co oznacza, że budynek jest bezpieczny i nie ma w nim ładunków wybuchowych. W środku mnóstwo szmat i brudnych bandaży leżących na podłogach. W pomieszczeniach łóżka i prycze, pościągane chyba z wielu domów. Łatwo odgadnąć, że w szkole był polowy szpital wojskowy. Na boisku szkolnym młodzież odnajduje stertę łupin i zgniłych ziemniaków, pozostałość po kuchni polowej. Pod wierzchnią, zepsutą warstwą, znajdowało się całkiem sporo dobrych i nadających się do zjedzenia kartofli, które stanowiły kulinarną atrakcję przez wiele dni.

Następnym odkryciem był sklepik i znajdujące się w nim resztki towaru. Były to torbki z przyprawami, a właściwie tzw. *erzatzami*, czyli – jakbyśmy to dziś określili – zamiennikami, które zastępowały oryginalny pieprz czy herbatę, itp.

Dzień, jaki nastał po pierwszej przespanej w nowym miejscu nocy, przyniósł pierwszy poważny problem, z jakim musieli zmierzyć się Kresowianie. Po sąsiedzkiej naradzie, poprzedzonej wczesną pobudką, postanowiono rozwiązać problem z wodą. Już poprzedniego dnia zmęczone drogą zwierzęta domagały się przede wszystkim wody. Niestety rzeczywistość okazała się smutna. We wsi nie ma studni, tylko pompy, które nieużywane od dłuższego czasu nie podają wody. Młodzież gnana ciekawością rozbiega się po wsi w poszukiwaniu źródła wody. Okazało się, że w jedynej znalezionej studni woda jest brudna i cuchnąca, a więc nie nadająca się do użytku. Ktoś wpadł na pomysł, aby do zalania pompy – żeby zassała wodę – wykorzystać deszczówkę z beczki stojącej pod rynną. Po wlaniu ostatniego wiadra pompa zaczęła podawać wodę. To był pierwszy sukces. Trzeba było długo pompować, aby pozbyć się zanieczyszczeń. Z obawy przed zatruciem najpierw pojono zwierzęta, ludzie pili wodę po uprzednim przegotowaniu, istniało bowiem zagrożenie, że może być zatruta.

Upływają dni na nowej ziemi i przynoszą nowe problemy. Kresowianie przyzwyczajeni byli do palenia w domach drewnem, którego mieli pod dostatkiem. Stalowa Wola, położona z dala od lasów, nie dawała takiej możliwości. Pozostawione przez poprzednich mieszkańców ślady wskazywały, iż za opał służył im węgiel i torf, niedostępny dla nowych mieszkańców wsi. Kolejny problem to oświetlenie. Gospodarstwa domowe wyposażone są w instalację elektryczną, ale z braku prądu jest ona bezużyteczna. Pomysłowość nowych mieszkańców w konstruowaniu sprzętu oświetleniowego oraz opracowywaniu paliwa do lamp pozwoliła i z tym problemem się uporać.

Niestety życie na Ziemiach Odzyskanych nie rozpieszczało wygnanych z rodzinnych stron Polaków. Wszelkie problemy dnia codziennego stają się niczym w pojawiającej się perspektywie niedostatku, żeby nie powiedzieć – biedy. Wielu rodzinom kończą się zapasy żywności i to staje się głównym problemem do rozwiązania. Ludzie postanawiają wyjść na pola. Chcą sprawdzić, czy Niemcy przed wyjazdem zdążyli je obsiać i obsadzić. We wsi jest dużo porzuconych maszyn i narzędzi rolniczych. Krążą co prawda pogłoski o zaminowaniu domów, dróg i pól, ale napisy *MIN NIET* zdają się tego

nie potwierdzać. Trzeba wierzyć, że sape-ry, tak jak chirurg ciała rannego żołnierza, uwolnili tę ziemię od odłamków wojny. Ludzie wierzą, że ta ziemia pragnie pracy ich rąk. A te ręce, zmęczone karabinem, pragną pracy dla dobra rodziny i ojczyzny.

Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów do Polski Ludowej odbywało się na podstawie „KARTY EWAKUACYJNEJ”, wystawionej przez Rejonowego Pełnomocnika PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego) do spraw Ewakuacji. Na mocy dekretu PKWN z 7 października 1944 roku, powołano Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR), który otworzył oddziały wojewódzkie i powiatowe. Jego zadaniem była początkowo organizacja „repatriacji” ludności na terytorium Polski Ludowej. Dyrektorem PUR mianowany został w kwietniu 1945 roku Michał Sapieha. Podstawową rolę w realizacji przesiedleń ludności odgrywały punkty etapowe PUR. Istniały cztery rodzaje tych punktów:

- Punkty wlotowe – usytuowane przy nowej granicy wschodniej. Ich zadaniem było przejęcie przybywających i udzielenie im koniecznego wsparcia materialnego i finansowego oraz niezbędnej pomocy żywnościowej. Jednym z trzech największych w nowej Polsce tzw. „punktów repatriacyjnych” był Specjalny Punkt Etapowy Zachodni w Dziedzicach, przez który przewinęło się około 500 tysięcy ludzi z ogólnej liczby 1,3 miliona przesiedleńców.
- Punkty przelotowe – rozlokowane wzdłuż magistrali kolejowych. Wyspecjalizowane w dostarczaniu przesiedleńcom w transportach żywności i zapewnieniu sprawnego kierowania tych transportów do punktów docelowych.
- Punkty przeladunkowe – wyspecjalizowane w przeladunku transportów z taboru szerokotorowego na system kolei normalnotorowej (rozstaw torów w ZSRR wynosił 1520 mm, w Polsce 1435 mm).
- Punkty docelowe – w których transporty miały być rozładowane, a przesiedleńcy mieli zostać skierowani do przeznaczonych im, czy też wybranych przez nich miejsc osiedlenia.

*Drugą część rozmowy opublikujemy w jednym z numerów 2018 r.*

**Sławomir Gowin**

## **WARSZAWIAK Z SERCEM BATIARA**

**M**ija rok od śmierci Staśka Wielanka – wieszczka z cyją, jak nazwaliśmy go podczas jednej z rozśpiewanych biesiad. Choć był niezłomnym patriotą stolicy, należy mu się słowo na lwowskich szpaltach, i to wielką literą pisane, albowiem był także szczególnym i niepowtarzalnym okazem warszawiaka z batiarskim sercem.

Spór o to, co większe, cenniejsze, ważniejsze, syrcieczniejsze – Lwów czy Warszawa – toczyliśmy, odkąd się przyjaźniliśmy, a więc od pierwszych chwil znajomości, bo ledwie minął kwadrans naszego pierwszego spotkania, a już wiedzieliśmy, że „kolegowanie” nasze okaże się dozgonne. W tym boju o wyższość jednej stołeczności nad drugą, choć zasadniczo bezkrwawym, nie raz przyszło nam się głęboko „skaleczyć”, żeby jakoś osiągnąć – oczywiście krótkotrwały – kompromis.

Przerzucaliśmy góry papierów w antykwariatach, bukinistycznych straganach i wszelakich innych szpargaliach, okopując się coraz głębiej pośród niezliczonych dowodów własnych racji. Trzeba zaznaczyć, że w tej batalii przeciwnicy cieszyli się wzajemnie ze swoich sukcesów. Ba, honor nakazywał wspierać się w poszukiwaniach i dzielić zdobyczami, które mogły wzbogacić którykolwiek z arsenałów. Owa trwająca blisko trzy dekady potyczka zakończyła się niespodziewanie 23 grudnia 2016 roku. Kiedy kilka godzin po odejściu Staśka byłem w jego domu, na biurku leżała książka *Mistrzowie kabaretu. Hemar i Jaroszy*. Kupił ją poprzedniego popołudnia i nie zdołał już przeczytać. W tych smutnych okolicznościach uśmiechnąłem się jednak, bo w jakimś sensie był to jego symboliczny głos w dyskusji o wartościach dlań najważniejszych. Wszak nazwiska tych zaprawdę wielkich mistrzów tak harmonijnie łączą Lwów z Warszawą. W dodatku obaj – Hemar i Jaroszy – uczynili z lekkiej muzy prawdziwą damę, niezrównanie ponętą, choć z metryki *par excellence* przedwo-



Stasiek Wielanek, fot. S. Gowin

jenną. To łączenie ludzi, środowisk, nurt, wzruszeń, wspomnień ponad wszelkimi granicami, także granicami czasu, było Staśka artystyczną misją. Przedwojenne – znaczyło dla niego: wykonane z najcenniejszej materii – czas przestawał się liczyć, bo Stasiek sam naprawdę potrafił żyć i pracować „jak przed wojną”.

Oto przykład. Kilka lat temu wybieraliśmy się do Wilna na 25-lecie przeżycia „Kapeli Wileńskiej”. Parę godzin przed wyjazdem, około jedenastej wieczorem, zadzwonił Stasiek ze słuszną uwagą, że nie mamy dla wileńskich chłopaków godnego prezentu. I oznajmił, że oczywiście najlepiej będzie, gdy zaraz usiądę i napiszę słowa upominkowej piosenki, bo „z bombonierą przecież nie pojedziemy”. Krótko protestowałem, ale Stasiek zbył te kaprysy powiadając, że „tak się przed wojną pisało i nie marudziło”. No i chyba jakieś przedwojenne duchy na mnie nasłały, bo tekst napisałem, wysłałem Staśkowi jeszcze tej nocy, a kiedy wyruszaliśmy o świcie do Wilna, on miał już gotową mu-

zykę. Za parę godzin na Prospekcie Gedymina odbyło się prawykonanie numeru pod tytułem *Wileńskie serducha*.

Tak się złożyło, że na jubileuszu nie brakowało lwowiaków, którzy bezlitośnie obsztorcowali mnie „za zdradę” i nakazali czym prędzej brać się za pisanie *Lwowskiego serducha*. Nie śmiałem odmówić. Napisałem, a Stasiek skomponował do tych słów urokliwy walczyk, który otwierał nasz program kabaretowy w Sylwestra 2015 we Lwowie. W jakimś sensie mój i Staśka, bo choć wielu było muzycznych ojców tego przedstawienia, my obaj rozmawialiśmy o takim programie od lat. Tak więc z Warszawy via Wilno trafiliśmy do... Lwowa.

I nie ma nic dziwnego w tych splątanych ścieżkach. Stasiek traktował kresowe nuty jak klejnoty najwyższej polskiej próby, był prawdziwym weteranem lwowskiej piosenki, od dawna śmiało sięgał po batiarski repertuar. W latach 80. śpiewał i nagrywał te numery, chociaż nie bardzo się to podobało cenzorom i innym mądralom. Jakoś się to po „warszasku” przepchnęło – że folklor miejski, batiarski, czyli

„troszkie robotniczy”, i „luu, Maniusiu”. Były to zarówno utwory lwowskiej klasyki, jak i pisane współcześnie, choć sprytnie „stylizowane” rozmaitymi pseudonimami. I pewnie z tych niełatwych okoliczności brał się fakt, że tytuł płyty z 1988 roku mówi o piosenkach „lwowskich przedmieść”. Bo niby dlaczego *Tylko we Lwowie* albo *Marsz lwowskich dzieci* nie miałyby mieć wstępu do śródmieścia?

Czasem z tych prób łączenia Lwowa z Warszawą wychodziły prawdziwe mecyje, które dziś nabierają symbolicznego znaczeń. Na któreś własne urodziny, natchniony odrobinę spirytualnie, napisałem *Apostrofę do Mariana Hemara*. Wysłała sceniczna śpiewka, w której narrator spożywa co nieco w jakimś lwowskim barze, po czym zarzuca pytaniami rzeczonoego Mariana.

Staśkowi rzecz się spodobała do tego stopnia, że zapytał po czerniakowsku, rzeczowo: *A co ty już w Warszawie to wódki pijesz?* I w wyniku rozpoczętych w ten sposób pośpiesznych negocjacji połączyliśmy Tuwima z Hemarem. Uzgodniliśmy bowiem,



że powstanie jedna muzyka, ale do dwóch, nieznacznie różnych wariantów. Jeden dla Hemara, drugi dla Tuwima, o co, jak mnie-maliśmy, żaden z bohaterów, w końcu po wsze czasy złączonych artystyczną przy-jaźnią, żalu miał nie będzie. Zatem wersja warszawska zaczyna się od słów:

*Czasami nocą na Nowym Świecie  
zamawiam wódkę w jakimś bufecie  
i znad kieliszka patrzę jak świta,  
piję, a później cichutko pytam:*

*Co tam u Ciebie, bracie Julianie...*

Tymczasem pierwsza zwrotka wersji lwowskiej brzmi tak:

*Czasem we Lwowie, w serdecznym barze,  
zamawiam wódkę, kumpelkę marzeń,  
i znad kieliszka patrzę jak świta,  
piję, a później cichutko pytam:*

Dalej już do obu poetów można kiero-wać te same słowa, zmieniając tylko imiona, które szczęśliwie sylabizują się tak samo.

*Co tam u ciebie, bracie Marianie,  
jak ci tam w niebie idzie pisanie?  
A może w piekle, wśród czarcich dymów,  
szukasz diabelnie zręcznego rytmu?*

*U nas tu teraz wszystko inaczej!  
– Czy pan się śmieje, czy może płacze?  
Wszystkie kawały dla nich za stare!  
Stare jest piękne! To jest kabaret!*

*Tak mój Marianie, niedługo w niebie,  
zagramy sztukę tylko dla siebie,  
ja ci opowiem genialny szmonces,  
ty coś napiszesz znowu Ordonce.*

*A tutaj niech się co chce to dzieje!  
Jeden niech płacze, drugi się śmieje.  
Bijcie nam głośno ostatnie brawa,  
to wam na koniec zrobimy kawał!*

*Chcecie się pośmiać na tym padole?  
Chętnym rozdamy najlepsze role!  
Nic tak nie śmiesz jak Polak i Żyd,  
kto chce być którym? No jak to...? Co?  
Nikt?!*

*No to już sami najlepiej wiecie  
jak chorobliwie poważniejcie!  
Ci państwo... pani... i w tamtym rządzie!  
Przez pana również – śmieszniej nie  
będzie!*

*Znudzeni zasną, uprzejmi klasną,  
cisza zapadnie, światła pogasną!  
Nic już nie będzie jak w kabarecie.  
No, może kiedyś... na tamtym świecie!*

Kto by pomyślał, że ostatni wers tak szybko będę kierował do Staśka.

Mieszkałem kiedyś w wiejskim domu po-śród nadodrzańskich lasów. Stasiek bywał tam ze swoją kapelą. Pewnego wieczora, już po zmierzchu, rozprawialiśmy o noc-nych wyprawach do lasu, ciemniejszego tuż za płotem. Ktoś zapytał, czy nie boję się żyć w takiej głuszy, chodzić po mrocznych ostępach. Powiedziałem, że gdybym nie wierzył w duchy, to bałbym się na pewno. Tylko Stasiek zamyślił się dłużej nad tym – na pozór – biesiadnym bon motem i z całą powagą przyznał mi rację. I za to się chyba lubiliśmy najbardziej. Za wiarę w dobre du-chy, lwowskie i warszawskie, które znajdują sobie w końcu jakieś rozśpiewane niebo. A czy ono ładniejsze nad Łyczakowem czy nad Czerniakowem? Panu Bogu to zasad-niczej różnicy nie robi.

Wpadnie mu w ucho melodia raz lwow-ska, raz warszawska. I niech mu się słucha...

# Sportowe tematy w sowieckim Lwowie

## Na przykładzie twórczości rzeźbiarskiej Janiny Reichert-Toth i Fryderyka Totha z lat 1939–1946

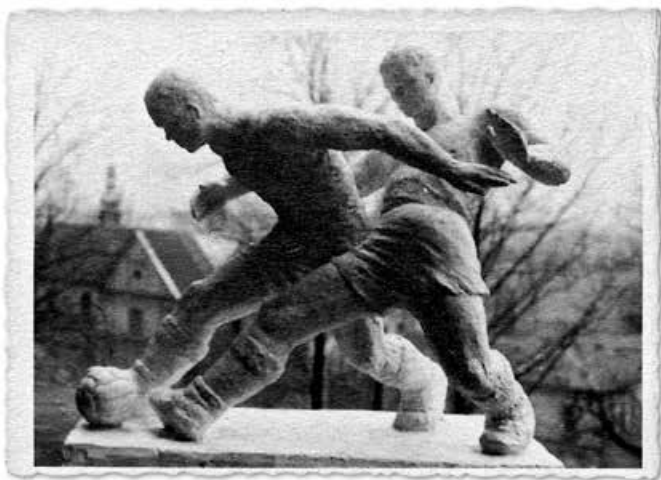
**D**osłownie kilka osób może jeszcze pamiętać krakowskie mieszkanie pary lwowskich rzeźbiarzy przy Placu Matejki 2 m. 5. Frontowe pokoje to salon, urządzone biedermeierowskimi meblami, z kilkoma pięknymi obrazami (w tym – Sichulskiego), huculskim kilimem na kanapie i niewielkim, a wysmakowanym zbiorkiem ceramiki huculskiej, oraz – niezwykła dla nas, dzieci, pracownia, z mnóstwem gipsowych modeli i szkiców, rzeźb drewnianych i marmurowych, stołków, postumentów, cebrzyka z gliną i wielu innych, tajemniczych a atrakcyjnych przyrządów i narzędzi. Z tych to pomieszczeń na drugim piętrze kamienicy wspaniale było obejrzeć 1 października 1976 r. dokonywane przez helikopter Instytutu posadowienie konnej figury Władysława Jagiełły – głównego elementu odtwarzanego przez Mariana Koniecznego Pomnika Grunwaldzkiego.

W przedpokoju, obszernym i mrocznym, na jednej z szaf stała mocno przykurzona grupa *Piłkarze*. Dwie świetnie uchwycone w ruchu figury graczy w strojach raczej przedwojennych: grube podkolanówki, koszulki włożone do przydługich szortów przywodziły na myśl niezwykle dynamiczną, graniczącą z faulem rozgrywkę o piłkę.

Autorką rzeźby była Janina Reichert-Toth; po śmierci artystki w 1986 r. tę właśnie kompozycję wraz z blisko setką innych zgodnie z wolą rzeźbiarki przekazano miastu Nowy Sącz. W protokole podano wymiary rzeźby (podstawa: 50 na 23 cm, wysokość 46,5 cm), datę powstania (1947/48) i surowiec – gips. Wzmiankowano

też uszkodzenie ręki jednego z graczy. Jako autorkę wymieniono Janinę Reichert-Toth, tak też podpisane są zachowane w spuściźnie zdjęcia tej rzeźby. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że jej współtwórcą był mąż artystki – Fryderyk Toth (1896–1982), w młodości piłkarz II składu lwowskiej Pogoni oraz członek władz klubu.

W swej wcześniejszej twórczości, rozpoczętej w 1917 r., artystka nie podejmowała tematyki sportowej. Jedynym przejawem takich zainteresowań jest płaskorzeźba na nagrobku młodego lwowskiego miłośnika gór, studenta i zawodnika „Czarnych” – Ludwika Kazimierza Ralskiego, który zginął w lawinie na Sławsku 4 kwietnia 1931 r., dziś tak wyróżniająca się swoją art.-dęcową urodą na cmentarzu Łyczakowskim. Domeną Janiny Reichert-Toth były jednak portrety, rzeźba religijna (tu wspomnijmy ołtarze do kościołów św. Elżbiety i św. Marii Magdaleny we Lwowie) oraz monumentalne pomniki (m.in. w Brzeżanach, dla Lwowa zaś – niezrealizowane Piłsudskiego, Konopnickiej i biskupa Bandurskiego). I choć w szeregu jej prac pięknie uchwycony jest ruch (postacie żołnierzy na pomniku w Brzeżanach, biskup



Piłkarze

Bandurski), to najwyraźniej sport nie leżał w jej zainteresowaniach.

W spuściznie fotograficznej rzeźbiarki znalazły się jednak fotografie rzeźb sportowców, opisane na odwrociach ręką Janiny jako jej prace, opatrzone tytułami i nieco później innym już długopisem datowane. Autor zdjęć pozostaje nieznan. To rzeźby z tej samej co *Piłkarze* rodziny. *Bramkarz* o znakomitej sylwetce, ubrany w półgolf z długim rękawem, szorty i wysokie skarpety, stoi w wykroku, skoncentrowany i przygotowany do obrony rzutu. *Dyskobolka*, w szortach i koszulce z krótkim rękawkiem, z uniesionymi do góry rękoma (co, dodajmy, pięknie podkreśla rysunek jej piersi), uchwycona została w tanecznej wręcz pozie. Najbardziej statyczna jest natomiast *Narciarka*, ubrana w golf, spodnie ze skórzanym paskiem w talii i ściągaczami na kostkach oraz wełniane grube rękawice. Zaopatrzona jest w jeden tylko kijek (bez kółka), a znawcy sprzętu narciarskiego byliby pewnie w stanie określić nawet rodzaj wiązań. Do tej serii pasują jeszcze znane mi jedynie z fotografii dwa posądky *Sławy*, trzymającej nad głową gałązkę laurową. Jedna z nich stoi, druga, odziana jedynie w krótką, rozwianą spódniczkę – biegnie.

*Bramkarz*, *Dyskobolka* i *Narciarka* opatrzone zostały datą 1940. *Sławy* nie są datowane, ale na zdjęciu figuruje niemiecki nadruk fotografa: „Atelier Elite, Frankenstein, Ring Nr 1”. Można zatem sądzić, że wszystkie powstały w 1940–1941 roku, „za

pierwszych Sowieców”, kiedy życie artystyczne Lwowa i tych polskich twórców, którzy w mieście pozostali, nie będąc wywiezionymi, poddane zostało wymogom państwa totalitarnego.

Wciąż jeszcze zbyt mało o tym okresie dziejów Lwowa wiemy. Pisała o tym na łamach „Semper Fidelis” Janina Sosnow-

ska, przywołując szereg relacji wspomnieniowych, w tym Aleksandra Wata, Oli Watojewej, Aleksandra Rafałowskiego. By przetrwać, konieczne były kompromisy. I tak wiekowy już Stanisław Batowski malował cykle przedstawiające sceny z życia Lenina, w tym jego spotkania z Janem Kasprowiczem w Nowym Targu i Stefanem Żeromskim w Zakopanem; Kazimierza Sichulskiego broniła jego fascynacja Huculszczyzną, Jonasz Stern kierował spółdzielnią „Chudożnik”. W artykule prasowym L. Gutmana z 1940 r. mowa była i o innych: *Artystami zawładnęły nowe zadania i nowy rytm. Grafik Karol Ferster, który dotarł do radzieckiej granicy i zaraz potem z Armią Czerwoną doszedł do Lwowa, przedstawił na obrazie zburzenie słupa granicznego w historycznym dniu 17 września 1939 roku. Malarz Adam Marczyński naszkicował przepojony poetycką nutą moment spotkania Armii Czerwonej z mieszkańcami wsi, [...] Mychajło Moroz, urzeczony soczystą zielonością karpackiej wsi, namalował całą serię scen z życia radzieckiego ludu huculskiego. Rzeźbiarz Antoni Pawłoś stworzył heroiczny obraz wyzwolonego ukraińskiego chłopca mknącego na koniu z okrzykiem wzywającym do walki z polskim grabieżcą [...]. Dziesiątki lwowskich artystów pracują nad przedstawieniem tych przeżytych osobście wydarzeń [...] Radziecki Lwów włącza się do pełnokrwistego życia socjalistycznej sztuki, co z kolei tworzy fundamenty komunistycznego humanizmu i postępowej kultury całej ludzkości.*

W artykule Gutmana, cytowanym wyżej, Janinę Reichert wspomniano jako tę, która porzuca stylizację na wzór gotyckich kosciołów katolickich i wykonuje pomnik Puszkina, głowę żołnierza – czerwonoarmisty, głowę Huculki oraz barelfy do teatru im. Łesi Ukrainki. Janina i Fryderyk wstępują do Lwowskiego Oddziału Związku Radzieckich Artystów Ukrainy, obydwójce uczestniczą w 1940 r. w wystawie artystów Zachodniej Ukrainy w Kijowie oraz w wystawie sztuki Ukrainy Zachodniej w Moskwie w grudniu tegoż roku. Na ten też okres przypada wykonanie serii sportowych rzeźb oraz posądków *Sławy*, być może wtedy powstał *Piłkarze*. W oczywisty sposób tematyka sportowa była uznana przez władze sowieckie za właściwą i godną poparcia. O rzeźbach tych Ja-





nina jednak nie wypowiedziała się później, co do pomnika Puszkina parokrotnie mówiła, że był to „okup” za aresztowanego Fryderyka.

W czasie niemieckiej okupacji Lwowa oboje artyści zamilkli, wysiedleni zresztą ze swego domu i pracowni. Rok 1944 przyniósł, wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej, powrót do znanych już realiów. I tak Fryderyk wykonał wówczas m.in. popiersie generała-majora Żukowa oraz figurę *Granatmiotczika*, Janina zaś kompozycję *Niemiec idzie*, znaną też później jako *Widmo wojny*, przedstawiającą kobietę w prostym, wiejskim stroju, czujnie wpatrującą się w dal i tulącą małego chłopca. Fryderyk zostaje w marcu 1945 aresztowany (wiadomo o tym z listu Janiny do siostry i wzmianki, że i on, i jego ojciec byli bardzo chorzy, ale że Fryderyk już się „wyłubował”).

Znów przyszło im uczestniczyć w wystawie artystów lwowskich, wraz z Kulczycką, Monastyńskim. Kuryłasem, Batowskim, Hrin-cem, Sewerą. Janina wystawiła kompozycję *Niemiec idzie*, Fryderyk – *Granatmiotczika* i *Zwiad*. Recenzujący wystawę R. Melnyczuk, zastępca dyrektora Zarządu Sztuk Plastycznych Komitetu ds. Sztuki przy Radzieckim Komitecie Ludowym Ukraińskiej Republiki, konkludował: *Zapewnimy w naszym kraju swobodny rozwój sztuki i mowy, rozwój, jaki nie będzie miał precedensu w historii ludzkości. Renesans rozwinie się na naszej ziemi!*

Póki co trzeba było jednak z czegoś żyć, a oboje Tothowie nie mieli stałej pracy. 14 maja 1945 r. Janina podpisała umowę na wykonanie w brązie rzeźby *Niemiec idzie* i sprzedaż jej państwu (po zatwierdzeniu przez odpowiednią komisję) za 12 000 rubli. Kolejna umowa z następnego dnia zawarta była z Fryderykiem Tothem, który sprzedał wraz z prawem do rozpowszechniania na terenie całego kraju kilka swoich prac,



Bramkarz

w tym – *Narciarkę* i *Dyskobola*, odpowiednio za 1000 i 1800 rubli. Rok później, 29 kwietnia 1946 r., Janina otrzymała natomiast po 1700 rubli za cztery sprzedane figurki gipsowe: *Dyskobolki*, *Dyskobola*, *Łyżwiarki* i *Bramkarza*. Zatem rzeźb o tematyce sportowej było więcej: doszedł jeszcze *Dyskobol*, wymieniany raz jako praca Janiny, raz – Fryderyka, na zachowanej fotografii, opisany jako jego praca, doszła też nieznana *Łyżwiarka*.

Zachowane zdjęcie *Bramkarza*, *Dyskobolki*, *Dyskobola* i *Narciarki* wyglądają jak prace jednej osoby. Czy była

nią faktycznie Janina, za czym przemawiają podpisy na zdjęciach, czy raczej Fryderyk? Czy też pracowali nad nimi wspólnie, a przedstawiali figurki jako dzieła Janiny, bardziej znanej i cenionej w środowisku?

Lwów opuścili w połowie czerwca 1946 roku, uzyskawszy do dyspozycji swojej i czterech osób z rodziny Fryderyka pół wagonu towarowego. Było to możliwe po interwencji Ambasady Polski w Moskwie u I sekretarza Obwodowego Komitetu Partii we Lwowie. Możliwe było wywiezienie warsztatu, części mebli, narzędzi rzeźbiarskich, blisko 300 książek oraz 41 rzeźb w marmurze, drzewie, brązie i gipsie. Zachował się spis książek, nie było spisu rzeźb. Nie wiemy zatem, czy któraś ze statuetek sportowców przyjechała do Polski.

Ciekawe, jakie były losy *Narciarki*, *Bramkarza*, *Łyżwiarki*, *Dyskobola* i *Dyskobolki* w sowieckim imperium. Czy powielono je w setkach anonimowych egzemplarzy, zdobiących dygnitarskie biurka? Może któraś zawędrowała do prywatnego domu miłośników danej dyscypliny sportowej? Czy też pięć gipsowych figurek rozpadło się w proch w wilgotnym magazynie muzealnym, gdzie zniszczeniu uległo wiele innych cenniejszych prac polskich artystów?

**Hanna Wietrzny**  
**Świrz**

*Mamie*

I  
nasz dom w zaciszu  
Wołoniaków i Gołogór  
stał biały  
obłok na ziemi  
małwy  
rycerze miłości  
stukwały w okna  
mrużące ule  
uczyły życia  
pory roku w sadzie  
śpiewały kołysanki

II  
w polu  
nad stawem  
przy studni  
oborze  
na grządkach  
w polonezie  
czasem siania  
żniw  
i grzybobrania  
widzę Was

III  
na dyni  
fotelu dzieciństwa  
zbierasz godziny  
raju

dziś  
bez nich  
wygnana  
zasnąłaś pod obcym dachem

*(5 marca 1978)*

\* \* \*

Polakom że Świrza koło Lwowa  
wtedy gdy płonęło niebo  
w Wigilię trzydziestego dziewiątego  
kiedy rodził się brat  
przyszli w kufajkach  
dali dziesięć minut do wymarszu  
mordowali chorych i chłopców  
spalili starców  
i pognali do piekła lasów  
na mróz na zatracenie

wtedy rodził się Jezus  
w brzezynie na wozie  
Józefa chowano w młodniku przy drodze  
tylko Maryja osłaniając syna  
przetrwała a z nią dziecina  
wtedy gdy płonęło niebo  
w Wigilię trzydziestego dziewiątego

*(24 grudnia 1978)*

\* \* \*

*Andrzejowi Poczobutowi*

czy ktoś kto nigdy  
nie żył w niewoli  
zrozumie Twój heroizm

jak limba na szczycie  
szarpana wichrami  
stoi i trwa  
tak Ty  
gdzie groby milionów  
rodaków zostały  
ich godność  
wdeptana w ziemię  
w ojcowiznę  
gdzie pamięć o praojcach  
pomordowanych za polskość  
korzeniami  
karczowanego lasu trwasz

więźniem sumienia  
nazwał cię świat  
a my bohaterem naszym

*(18 czerwca 2011)*

---

HANNA WIETRZNY, aktorka, poetka, prozaik, absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie z 1962 r. Występowała na scenach Teatru Ziemi Krakowskiej w Tarnowie, Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, Teatru Ludowego w Nowej Hucie, Teatru Akne. Jako poetka debiutowała w 1969 roku na łamach „Współczesności”, publikowała też w „Kulturze”, „Życiu Literackim” „Dekadzie Literackiej”, „Literacie Krakowskim” i innych pismach. Związana jest ze Stowarzyszeniem Twórczym Artystyczno-Literackim, Związkiem Literatów Polskich, ZAiKS-em i Związkiem Artystów Scen Polskich. Stypendystka miasta Krakowa z 1986 roku, w 2013 roku uhonorowana odznaką Honoris Gratia. Autorka dziesięciu książek – tomików poetyckich i dwóch zbiorów opowiadań poetyckich oraz dziesięciu sztuk teatralnych.

---

# Plan Sary

(fragment)

Maj 1938. Jakub Stern, dziennikarz „Kuriera”, zajmuje się najbardziej drastycznymi zbrodniami z lwowskiej kroniki kryminalnej. Pisanie artykułów szybko przestaje mu wystarczać i prowadzi własne dziennikarskie śledztwa. Często ubiega policję, a rozwiązanie sprawy podkuwającego swoje ofiary „kowala z lasu” i szaleńca kolekcjonującego prawe kobiece dłonie przynosi mu sławę. W końcu nawet Uniwersytet Jana Kazimierza uznaje go za eksperta i proponuje poprowadzenie ćwiczeń na Wydziale Prawa. Stern wciąga swoich studentów w ryzykowny eksperyment: mają się wczuć w psychikę przestępcy i przygotować scenariusz zbrodni dla mordercy-psychopaty. Niedługo potem, na Rynku – pod rzeźbą Amfitryty – policja znajduje zamarznięte zwłoki młodego, nagiego mężczyzny ze zmasakrowaną twarzą. Stern dostrzega, że ktoś zaczął realizować jeden z psychopatycznych scenariuszy...

Po dwudziestu minutach szybkiego marszu dotarł pod masywne drzwi „Engelkreisa”, a kiedy je otworzył, buchnęła w niego gęsta mieszanka dymu, alkoholu i męskiego potu. Gdzieś pośród kłębiącej się i przekrzykującej masy, niczym samotna wyspa, czekał na niego inspektor Zięba.

Jakub przecisnął się przez grupkę mężczyzn i zatrzymał przy ladzie, wlepiając wzrok w wielką jak szafa bufetową. Właśnie zastanawiał się, jak zapytać o Ziębę, gdy poczuł czyjś palec wwiercający się w plecy.

– Pieniążki albo... pieniążki? – usłyszał głos inspektora, a potem jego rubaszny śmiech. – Powiedz, Jakub, żeś się mnie wystraszył, co?

– Jasne, cholernie się ciebie boję! – odparował Stern, rozglądając się po mordowni.

Inspektor wziął Jakuba pod łokieć i zaprowadził w kąt, gdzie na okrągłym stoliku czekało na niego zimne piwo marcowe.

Stern bez ceregieli wydudlił połowę, odstawił kufel na kartonową podstawkę z rysunczkiem lwa i czekał, aż Zięba pierwszy się odezwie.

– Nie pytam cię, k..., skąd wiesz! Ja mam swoje, a ty masz swoje dojścia, coś mi się jednak zdaje, że twoje źródło *woniję* na kilometr.

– Nie wierzysz mi?

Stern wyjął zapałkę z pudełka z Poleszukiem i efektownie przypalił Ziębę papierosa.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości: dobrą i złą, którą wolisz na początek?

– Zacznij od tej dobrej.

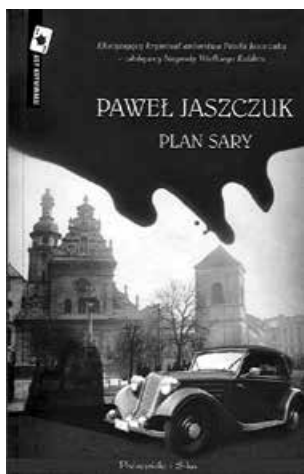
– Dobra to ta, że dziś przed południem go przyskrzyniliśmy!

– Dopiero teraz mi o tym mówisz? – rzucił Stern z pretensją. – Kto to?

– Dobrze go znasz, to doktor Emilian Kanclerz, twój uniwersytecki rywal. Widzę po twojej minie, że mi nie wierzysz?

Dziennikarz milczał. W jego głowie trwała galopada myśli. Nie był w stanie uwierzyć, że jego poprzednik zdolny był do takich czynów.

– Chcę ci podziękować. Na jego ślad naprowadził nas przysłany przez ciebie Robert Barecki. Chłopak opowiedział o swojej bójce z Zimmerem i o zniknięciu ciała tamtego. I wtedy, tak jak ty, zdałem sobie sprawę, że kluczem do sprawy musi być samochód. Barecki opisał dwa samochody, które tamtego wieczoru stały w okolicy parku. Granatowego szewroleta, który należy do rektora, i czarnego fiata, własność dawnego wykładowcy. W dokumentach sprawy znalazłem zapiski, że dwaj redaktorzy z Radia Lwów wracający z imprezy w „Atlasie” widzieli nad ranem takiego samego czarnego fiata, jakiego ma Kanclerz, na Halickiej, i to zanim twój Zimmer znalazł się na fontannie Neptuna z trójzębem w trzewiach. O tym samym samochodzie wspominał również kolejarz, którego wspólnie z Wilgą posłałicie



w piątek trzynastego w diabły. Był na was obrażony i odgrażał się, że złoży skargę. Pojechaliśmy więc w środku nocy do Kanclerza, lecz zastaliśmy tylko wystraszoną żonę, gosposię i zaspanego lokatora. Pana domu nie było. Nie było też jego samochodu. Barecki powiedział nam jeszcze coś ważnego: że Maska przystawiał się ostatnio do

jego koleżanki. Podał nam usługę jej adres, a my zaryzykowaliśmy i...

– Gdzie był? – zapytał zniecierpliwiony Stern. – Czy nie możesz choć raz gadać po ludzku?

– Nigdy byś nie zgadł! Czarny fiat Kanclerza stał przed domem Róży Winkler, a w środku...

– Nie uwierzę!

– Sic! Wydawałoby się to niemożliwe, a jednak skorzystał z okazji, gdy jej rodzice wyjechali na wakacje do Wenecji. – Zięba zgasił niedopatek na podstawce. Potem grubym, ruchliwym językiem zlizął pianę z brzegu kufła. – Twój doktorek siedział dziś rano za kratkami i płakał jak bóbr. Był w szoku i się jąkał. Wzięliśmy go w obroty i nie uwierzysz, ale zaczął szczerze gadać. Przyznał się do kontaktów z Sarą, więc wychodzi na to, że nie byłeś pierwszy.

Stern zacisnął zęby, mając nadzieję, że inspektor nie zauważy, jakie wrażenie zrobiła na nim ta osobista wycieczka.

– Czemu powiedziałeś: siedział? – zapytał podejrzliwie dziennikarz.

– Spokojnie, nie poganiaj mnie. Zabrałem Kanclerza i pojechaliśmy do jego domu na Akacjową. Kanclerz trząśł się jak galareta i płakał przy żonie, że jest niewinny. Poprosił grzecznie, czy może skorzystać z toalety, więc postawiłem pod drzwiami stójkowego, a sam udałem się do jego gabinetu. Czego tam nie było! W jego biurku leżał szkic Rynku z zaznaczonymi fontannami i interesującymi komentarzami, wycinki z gazet i niewypełnione blankiety zaproszeń. Pakowałem je akurat

do teczki, gdy stójkowy z korytarza zaczął walić w drzwi i drzeć gębę. Poleciałem, lecz okazało się, że wystraszony mężulek dał gdzieś dyla przez ogród. Rozbiegliśmy się, szukaliśmy, ale facet jakby się pod ziemię zapadł. I to jest ta zła wiadomość!

Inspektor nie dał dojść Sternowi do głosu i aby pokryć zmieszanie, przystąpił do dalszej opowieści.

– Dostałem od jego żony adres, ten sam, który dała Wildze. Byłem na Starozakonnej, gdzie mieszkał majster prowadzący budowę jego kancelarii. Po majstrze ani widu, ani słyhu. Zajrzałem do szafy, znalazłem kartkę z terminarza z datą, która dała mi wiele do myślenia. Przepytałem sąsiadów. Potwierdzili, że dwa, a może trzy razy parkował tam czarny fiat. Kobiety niestety nie widzieli, zapamiętali za to mężczyznę, wypisz wymaluj, jak nasz prawnik. Do roboty wziął się nasz technik kryminalny, pan Tomasz, znasz go. Znalazł jakieś ślady. W południe zameldował mi, że nie ma ich w naszym rejestrze, ale potwierdził, że pokrywają się one z odciskami zebranymi w willi pana doktora, a to oznacza, że po nitce do kłębka wreszcie doszedłem do...

– Nie chrzań – przerwał mu Jakub. – Wypuściłeś go z rąk. Chyba wiesz, co to znaczy?

Miał ochotę wyróżnić inspektora w szczękę, co doskonale pasowałoby nie tylko do miejsca, lecz także do przebywających tu i wydzierających się niemilosiernie typów, ale się opanował. Przypomniał sobie, że i on nie jest bez winy.

Za jego plecami jakiś pijany batiar zaintonował drżącym głosem rzewną piosenkę o koniu i pół knajpy odpowiedziało mu: *Oj, koniu, koniu, wracaj do domu, dla ciebie nima tu siana*. Do tego śpiewu niespodziewanie przyłączył się Zięba, wydzierając się na całe gardło i myśląc zwrotki: *Pociąg nadjechał, Frankę rozjechał, osobno głowa, a osobno Franka*.

– A widzisz, nie wierzyłeś mi, że będzie miło! – powiedział inspektor i poszedł do baru po dwa następne kufle i po słone sztangle z wędzonym serem pokrojonym w kostkę.

Gdy wrócił, miał już gotowy plan na następny dzień.

– Nie wiem, dlaczego to robię, ale zrobię to dla ciebie! Ustawię tam swoich ludzi, tylko nie licz na wiele, bo się przeliczysz!

Przesunął talerzyk z zakąską na środku okrągłego blatu, kufle zaś blisko siebie z boku.

– Ten talerzyk to twoja wiekowa damulka z kundlami – powiedział, przyciszając głos – a nasze kufle to narożne kamienie Rynku, w których ty i ja zajmiemy swoje miejsca. Moi ludzie będą dyskretnie obserwować teren i czekać na rozkaz. Każdy dostał zdjęcie pana doktora w uczelnianym birecie i todze. Mają zakodowaną w pamięci tę bezczelną buźkę.

– Czy mogę zainstalować się tutaj? – Jakub pokazał palcem obok kuffla, w miejsce, w którym teoretycznie znajdowała się jego ulubiona piwiarnia, przylegająca do kamienicy Bernatowiczowskiej pod numerem ósmym.

– Jasne. Bądź w swojej knajpie trzydziści po jedenastej i o nic się nie martw. Kiedy zobaczysz tego frajera, masz grzecznie do niego podejść i przywitać się.

– Co dalej?

– Bez paniki! Koleś nawet nie zauważy, jak będzie leżał na glebie.

– A ty?

– Co ja? Ja zrobię, co do mnie należy!

– A co z nią?

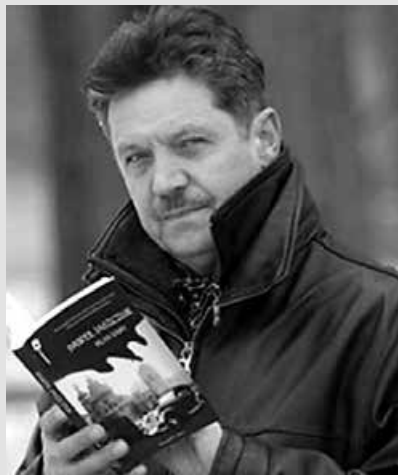
– Ty dalej swoje? Czego ty ode mnie, do k.... nędzy, chcesz!? – ryknął wściekle Zięba. Po kilku sekundach opanował się. – Podzieliśmy role i jeszcze ci mało? Przepytyujesz mnie, cwaniaczku, z mojej profesji? Ja nie pcham się do twojej uczzonej wierszówki!

– Nie słyszałeś jej głosu! – powiedział spokojnie dziennikarz.

– Panie Stern, sentymenty na bok! – odpowiedział Zięba i uśmiechnął się do dziennikarza, jakby rozmawiał z dzieckiem, ale Jakub nie miał już ochoty na żarty. Patrząc na czerwoną zapijaczoną gębę, szukał wyjaśnienia dla tego fenomenu. Inspektor się zmienił. Tak jakby świadomość upokorzenia Sterna dodała mu cudownej mocy. Nie był to już ten lękliwy Zięba, który niedawno ciągnął za sobą na konferencję prasową najładniejszą protokolantkę z komendy. Zrobił się cyniczny i bezczelny.

– No już dobrze, dobrze! – inspektor spuścił z tonu i wbił wzrok w dziennikarza. – Mamy, Kuba, jeden procent szansy, że nasz doktorek się pojawi i że uda nam się go na nowo przyskrzynić. Zadowolony?

Stern milczał.



**Paweł Jaszczuk** jest pisarzem zafascynowanym Lwowem. Za kryminał **Foresta Umbra**, którego akcja toczy się przed wojną w dawnym polskim mieście, otrzymał prestiżową Nagrodę Wielkiego Kalibru. Napisał także **Plan Sary**, **Marionetki** i **Akuszera śmierci** z parą bohaterów: Jakubem Sternem i Wilgą de Brie.

– A teraz miła niespodzianka. Pojechałem na stację przy św. Jacka i dowiedziałem się, że twoja Wilga nie pierwszy raz nie wróciła na noc. Tak już ma. Musi gdzieś pójść, dać ostro w gaz i po swej robocie odreagować. Właścicielka przybytku karmiła małe persiaki. Spodobałem się jej i jednego liliowego obiecała mi podarować, jak troszeczkę podrośnie.

Stern milczał nadal.

– Obrazil się, jak Bożię kocham, ten hryc nie zna się na żartach! Pani Gienia! Pani Genia! – zaryczał Zięba nad głowami. – Dajże pani jeszcze jedno gielajze dla tego smutasa!

Stern nie reagował.

– Chryste Panie. Myślisz sobie, Kuba, że ja nie mam po dziurki w nosie tej sprawy? – popatrzył na przybitego dziennikarza. – Wiesz, co sobie przysięgłem? Że kiedy ją wreszcie zakończę, pojedę do Juraty, wykopię sobie dołek pod d... i przez trzy dni będę leżeć na plaży, a jeśli wyciągnę rękę, to do jakiejś ślicznej loli albo po zimne piwo.

## Studencki Komitet Pomocy Repatriantom 1956/57

Z końcem 1956 r., na fali powstawania nowych organizacji studenckich oraz z uwagi na napływ repatriantów z ZSRR, grupka krakowskich studentów zorganizowała Komitet Pomocy Repatriantom. Z czasem, w związku z narastającymi potrzebami przybywających, studenci zaprosili jako doradców współpracowników w różnych dziedzinach znane osoby, jak prof. Bronisław Giędosz z Akademii Medycznej (Iwowanin), przedstawiciela Kościoła i innych, którzy często też sami zgłaszali chęć współpracy. Z końcem 1957 r. fala repatriantów ustała, ale zgłaszali się inni potrzebujący. Komitet kilkakrotnie zmieniał nazwę, by wreszcie działać jako Polski Komitet Pomocy Społecznej. Kierownikiem tej przemienionej organizacji został prof. Bronisław Giędosz, którego dzisiaj mianuje się jej twórcą. O studenckim samorządnym ruchu, który dał początek tej działalności i podwaliny PKPS, dziwnie zapomniano. Pragniemy tu podzielić się wspomnieniami o zorganizowaniu przez studentów KPR, który rozwinął się i pod nową nazwą Polski Komitet Pomocy Społecznej działa do dzisiaj w całej Polsce.

### WSPOMINA JAN GROMNICKI

Po spóźnionym powrocie do Krakowa z badań archeologicznych na Podkarpaciu w małym miasteczku Kołaczyce w połowie października 1956 roku byliśmy wraz z uczestniczącymi w nich kolegami w miarę zorientowani w dramatycznej sytuacji na Węgrzech oraz nabrzmiałej w Polsce. Należało jednak podjąć zajęcia uniwersyteckie czwartego, ostatniego roku studiów na Wydziale Historyczno-Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po popołudniowym wykładzie w Katedrze Archeologii, mieszczącej się przy ulicy św. Jana, zamierzałem dowiedzieć się czegoś bliżej w Collegium Maius, siedzibie Rektoratu UJ, gdzie mieścił się też Studencki Komitet Pomocy Węgrom, jeden z tworzonych w październiku na kolejnych uczelniach. Idąc przez Rynek Główny, dostrzegłem na plandecie zaparkowanej tam ciężarówce (wtedy było to możliwe), napis kredą *Brudne ręce precz*

*od Węgier*, na murach zaś inne napisy tego rodzaju! W siedzibie komitetu, mieszczącym się w niewielkim pokoiku w bocznym korytarzu budynku Uniwersytetu, dyżurująca tam studentka nie potrafiła mnie objaśnić co do sytuacji i zamierzeń Komitetu, jak też czy napisy te nie były tylko prowokacją, przed którą ostrzegały oficjalne media, lecz również radio „Wolna Europa”, którego to słuchaliśmy na naszej kwaterze w Kołaczycach dzięki uprzejmości gospodarza – miejscowego księdza proboszcza.

Działalność komitetów uczelnianych, jak też komitetu międzyuczelnianego, rozwijała się na przełomie lat 1956/1957. Organizowane były wiece i wystąpienia, akcja zbierania darów (rzeczowych i finansowych od instytucji i osób prywatnych) na rzecz Węgier, w tym także organizacja transportów (w ostatnim przed interwencją sowiecką miałem również wyjechać), rozpoczęto zawiązywanie dwóch związków młodzieżowych: Rewolucyjnego Związku Młodzieży i Związku Młodzieży Demokratycznej. Inicjatywę tę szybko zlikwidowano na polecenie umacniającego się we władzy nad partią samego Gomółki.

Przedstawiciele komitetu UJ zaproponowali mi, jako związanemu rodzinnie ze „wschodem”, współorganizację pomocy repatriantom z ZSRR, pojawiającym się coraz liczniej na skutek zwartej umowy Gomółka-Chruszczow. Wkrótce nawiązałem kontakt z bardziej zaawansowaną w tej działalności dwójką przedstawicieli: Akademii Medycznej – Jołą Halaubrenner i Politechniki Krakowskiej – Chimiakiem.

Jak się okazało, mieli już wypracowaną koncepcję założenia Komitetu Pomocy Repatriantom, z udziałem przedstawicieli Kurii Metropolitalnej (reprezentowanej przez ks. kanonika Stanisława Czartoryskiego, zajmującego się tam działalnością charytatywną), środowiska lekarskiego (reprezentował je prof. Bronisław Giędosz), farmaceutów (mgr farmacji Bajorek, także działacz PCK, reprezentujący jego Zarząd Okręgowy), wreszcie Związku Literatów Polskich, reprezentowanego przez poetę i pisarza Jalu Kurka, który też wkrótce został wybrany prezesem Komitetu. Ten, uważany za „czerwonego” pisarz – lu-dowiec, zaznaczył się pozytywnie w działalności komitetu.

Udało się wkrótce uzyskać stały, choć skromny lokal (jeden pokój w siedzibie Za-

rządu Okręgu PCK) na sekretariat komitetu oraz zatrudnić sekretarza w osobie zaproponowanego przeze mnie, pozostającego właśnie bez pracy absolwenta filologii Bohdana Peteckiego. Zarówno stała siedziba, jak i osoba sekretarza pełniącego stałe dyżury pozwalały nie tylko na utrzymywanie kontaktów między członkami komitetu (jego zebrania odbywały się również w sali posiedzeń PCK), lecz co najważniejsze – umożliwiały kontakty z osobami, które przekroczyły granicę (głównie w Medyce koło Przemyśla) i po opuszczeniu „obozu przejściowego” poszukiwały kontaktów z rodzinami, często wsparcia mieszkaniowego i finansowego, czy w ogóle „miejsca na ziemi”. Sekretarz, upoważniony do tego, dyskretnie prowadził też „wywiady” z przyjeżdżającymi na temat pozostających nadal w ZSRR Polaków, którzy z różnych powodów (obywatelstwo sowieckie, ciężące nad nimi wyroki, wiek, względy zdrowotne), często na prośbę zgłaszających się członków rodzin poszukujących swoich bliskich, z którymi często nie mieli kontaktu od czasu ich aresztowania czy wywiezienia w latach 1939/1940. Niekiedy rozmowy te miały przebieg wręcz dramatyczny, np. gdy zgłosiła się pani, której mąż był co prawda na „liście katyńskiej”, wierzyła jednak że może kiedyś się znaleźć...

Posiedzenia komitetu odbywały się początkowo co najmniej raz w tygodniu, później w miarę potrzeb, gdyż działalność na skutek dobrego i kulturalnego kierowania sekretariatem rozwijała się prawidłowo. Komitet nawiązał kontakt z „bazą” w Medyce, gdzie w barakach kwaterowani byli repatrianci, aby zaopatrzyć ich w bilety i niewielką kwotę pieniędzy na pierwsze potrzeby (z kasy państwowej), zazwyczaj też potrzebne ubrania i dodatkowe pieniądze, za pośrednictwem działającego sprawnie komitetu w niedalekim Przemyślu, kierowanym – jak mi wiadomo – przez bardzo sprawnego i zaangażowanego ks. kanonika Głodowskiego, delegowanego przez tamtejszą Kurię Biskupią. Z ramienia komitetu przyszło mi wizytować bazę dla zapoznania się z warunkami, jakie tworzone przyjeźdnym, które były zaledwie zadowalające, choć na tamte czasy oraz wobec koniecznej improwizacji związanej z całą akcją – właściwe.

Zainteresowanie działalnością komitetu obudziło się w środowiskach artystycznych Krakowa (ciekawe, że nie znalazło raczej oddźwięku w sferach naukowych, poza le-

garskimil), toteż z inicjatywy dyrektora Galerii Grupy Krakowskiej (plastyków) i Teatru „Cricot”, zorganizowany został (chyba pierwszy po II wojnie!) bal na rzecz repatriantów w salach Pałacu pod Baranami, z licznym udziałem artystów, młodszego pokolenia pracowników nauki, architektów i in. Ta inicjatywa i jej realizacja stanowiła ewenement w życiu wielu środowisk krakowskich i wpisała się *rozluźnieniem atmosfery w ramach oczekiwanych zmian popaździernikowych*.

Osobiście szczególnie dobrze wspominam współpracę z ks. Stanisławem Czartoryskim. Jego zawsze mądre rady w trudnych sytuacjach, wymagające czasem pewnej dyplomacji, szczególnie w kontaktach z władzami, także z Zarządem PCK, który z czasem stawał się coraz bardziej niechętny wobec naszej działalności prowadzonej na jego terenie. W jesieni 1957 roku, na skutek nacisków Zarządu PCK (prezeską jego była ustosunkowana żona I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR), nasz komitet został włączony w strukturę PCK i zmienił nazwę na Komitet Pomocy Repatriantom PCK. Ta zależność spowodowała, że Jalu Kurek i większość z nas zrezygnowała z udziału w tym nowym tworze, zresztą napływ repatriantów, wobec rosnącej niechęci władz sowieckich, ale i polskich zmniejszał się. Warto też wspomnieć, że niektóre komitety, bo działały takie i w innych miastach, szczególnie na Ziemiach Zachodnich, lecz i w Warszawie, zmieniły częściowo profil swojej działalności, np. działając w kierunku aktywizacji Ziemi Zachodnich dla zapewnienia repatriantom i dawniejszym oraz nowym „osadnikom” lepszych warunków ekonomicznych. Ta skądinąd celowa akcja, jak i inne podobne, przekraczała nasze możliwości, zainteresowania, a szczególnie kompetencje.

Warte zapamiętania jest to, że inicjatywa i także w znacznej części realizacja zamierzeń związanych z powstaniem i działaniem krakowskiego Komitetu Pomocy Repatriantom powstała w środowisku komitetów studenckich – „październikowych”, znajdując wydatne i szerokie poparcie społeczne. A ponadto była ona jedną z pierwszych – w sumie nielicznych wobec ograniczeń narzuconych wkrótce przez władze PRL pod kierownictwem Władysława Gomółki – oddolnych i spontanicznych akcji, w zasadzie niemożliwych od czasu likwidacji wszystkich organizacji społecznych przez władze Polskiej Ludowej w końcu lat 40.

## WSPOMINA JOANNA HALAUNBRENNER-LISOWSKA

Była późna jesień 1956 roku. Na budynku Uniwersytetu Jagiellońskiego zobaczyłam plakat z napisem *RZM – Rewolucyjny Związek Młodzieży – kolego dołącz do nas*. Wstąpiłam, ale „koczowisko” – porozkładane na podłodze materace – zniechęciło mnie. Na innym budynku przeczytałam na afiszu *Kolego, repatrianci z ZSRR wracają. Przyjdź i pomóż*. Będąc lwowianką uznałam, że to coś dla mnie.

Udałam się na ul. Świerczewskiego 12, do budynku PCK. Tam na I piętrze po lewej stronie korytarza na drzwiach widniał napis *Komitet pomocy repatriantom*, naprzeciw zaś napis *Komitet pomocy Węgrom* (był czas powstania węgierskiego).

W Komitecie pomocy repatriantom zastałam studenta UJ Jana Gromnickiego, studenta Politechniki Krakowskiej Mietka Chimiaka i jakąś dziewczynę. Po pewnym czasie dołączył absolwent UJ Bogdan Petecki. Zgłaszali się do nas repatrianci z ZSRR, wywiezieni z terenów kresów wschodnich i z samego Lwowa, po pomoc w załatwieniu różnych spraw urzędowych, np. zapisanie dziecka do szkoły, uzyskanie pomocy lekarskiej oraz pomoc rzeczową. Krakowianie przywozili odzież, garnki itp., które rozdawaliśmy.

Niektóre spotkania z repatriantami były wzruszające. Przybyłemu z głębi Rosji mężczyźnie ofiarowaliśmy używany garnitur. Zapytał: *A skąd wy to macie?* Odpowiedziałam: *To jakiś pan dla was przyniósł*. Na to repatriant: *Jeżeli on podarował swoje ubranie, to w czym sam będzie chodził?*

Ktoś przyniósł kozuszek dziecięcy ze źle wyprawionej skóry. Choć wygląd miał ładny, wychodziły z niego kępki futra. Obdarowany ojciec rozplakał się.

Rzeczy przybywało, wiosną 1957 roku kończył się masowy przyjazd repatriantów, a zaczęli się zgłaszać ubodzy z Krakowa. Wkrótce po rozpoczęciu pracy naszego Komitetu doszliśmy do wniosku, że potrzebne jest rozpropagowanie jego działalności i pomoc znaczących instytucji jak Kościół i służba zdrowia.

Jako studentka medycyny udałam się do rektora Akademii Medycznej prof. Bronisława Giędosza, który jako lwowiak chętnie przychodził na zebrania naszego studenckiego

Komitetu, z prośbą by zajął się organizacją pomocy lekarskiej dla repatriantów.

Razem z Mietkiem Chimiakiem udaliśmy się do arcybiskupa Eugeniusza Baziaka ze Lwowa, który w tym czasie rezydował w krakowskim pałacu biskupim – oczywiście po uprzednim uzgodnieniu terminu.

Dobrze pamiętam tę wizytę. Abp Eugeniusz Baziak siedział za wielkim stołem. Na nasze powitanie podniósł się i uściśnął nam ręce. Nie pozwolił uklęknąć ani pocałować się w rękę, tylko wskazał dwa krzesła. Po przedstawieniu naszej prośby obiecał pomóc i wydelegował do naszego Komitetu ks. Stanisława Czartoryskiego z Wawelu, który zajmował się działalnością charytatywną. W pracach Komitetu uczestniczył też któryś z redaktorów „Tygodnika Powszechnego”.

Kończył się rok akademicki, a także zmalowała fala repatriantów, natomiast nadal zgłaszali się ubodzy z Krakowa. Prof. Bronisław Giędosz zaproponował zmianę nazwy na Komitet Pomocy Biednym, ostatecznie powstała nazwa Komitet Pomocy Społecznej, a następnie (gdyż powstały filie w innych miastach) Polski Komitet Pomocy Społecznej. Prof. Giędosz zapytał, czy studenci chcą nadal w tym komitecie pracować. Odpowiedzieliśmy, że chcielibyśmy już zająć się wyłącznie studiami.

Boli mnie, gdy czytam w prasie, że założycielem PKPS był prof. Bronisław Giędosz. On jedynie dołączył do studenckiego Komitetu Pomocy Repatriantom, a następnie po zmianie nazwy przewodniczył mu. Rola założycielska krakowskich studentów jest całkowicie przemilczana.

Dodatkowo pragnę wspomnieć, że nasz działacz, student Politechniki Krakowskiej, Mieczysław Chimiak pracował równocześnie w Komitecie Pomocy Węgrom, m.in. woził do walczącego Budapesztu krew oddaną przez studentów. Po jednym z wyjazdów podarował mi szereg fotografii z Budapesztu: powstańcy rozbijający obaloną z pomnika wielką głowę Stalina, tanki na ulicach, walki uliczne.

W 50. rocznicę powstania węgierskiego Telewizja Krakowska ogłosiła apel o udostępnienie pamiątek z tego powstania. Przekazałam posiadane fotografie, które były pokazane w telewizji, a następnie, na prośbę Węgrów, przekazane do Muzeum Powstania Węgierskiego w Budapeszcie. Dostałam stamtąd podziękowanie za te „niezwykle cenne pamiątki”.



# Wspomnienie o śp. Henryku Kleinroku



**28** września 2017 r., po długiej i ciężkiej chorobie odszedł od nas nasz kochany i bardzo lubiany kolega śp. Henryk Kleinrok. Henryk przyszedł na świat 1.01.1931 r. w Kozłowie k. Tarnopola w rodzinie dyplomowanego rzemieślnika masarskiego. Jak pisał w swoich wspomnieniach: *W domu rodzinnym wraz ze starszym bratem Zdzisławem uzyskaliśmy staranne wychowanie. Nasi Rodzice uczyli i wpajali nam oprócz ogólnych ideałów, też i inne godne do naśladowania wzorce patriotycznego zachowania. Również zasady postępowania oparte na religijnych kanonach wiary, miłości bliźniego i dekalogu przykazań Bożych.*

Naukę zaczął w szkole powszechnej w Kozłowie w 1937 r., ale wojenne czasy sprawiły, że również doświadczył i sowieckiego, i hitlerowskiego systemu edukacji. Gdy w 1944 r. los rzucił rodzinę do Brzeżan, okazało się, że w przedwojennym budynku Gimnazjum im. Rydza-Śmigłego utworzono polską szkołę z rosyjskim programem nauczania i w tej szkole Henryk ukończył szóstą, a jego brat Zdzisław ósmą klasę.

Okres drugiej okupacji sowieckiej to w dalszym ciągu wywózki na Sybir czy przymusowe prace w różnych zakładach produkcyjnych ZSRR (np. kopalnie Donbasu), ale też napady, rabunki, podpalenia i mordy dokonywane przez banderowców. Jak wspomina śp. Henryk: *Psychoza wytworzona tymi wydarzeniami spowodowała to, że nie wróciliśmy do Kozłowa, jedynie przyspieszyła podjęcie przez ojca decyzji o wyjeździe na tzw. Ziemię Odzyskaną.* W 1945 rodzina znalazła się w Gliwicach,

gdzie w 1949 r. Henryk zdał maturę i dostał się na Wydział Elektryczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Nie obyło się bez „ochotniczej” przynależności do ZMP czy SP, w ramach której, wraz z sześcioma innymi „ochotnikami”, został pod karabinem konwojowany do Mogiły (miejsce powstania Nowej Huty) do 37 Ochotniczej Brygady SP, co z humorem podsumował w swoich wspomnieniach: *W taki oto sposób ja, co prawda „ochotniczo” sprowadzony pod karabinem, w jakiś sposób przyczyniłem się do przedterminowej realizacji Planu Sześcioletniego i do powstania sztandarowej budowy socjalizmu – Huty im. Lenina.*

W 1953 r. napisał pracę dyplomową i otrzymał dyplom inżyniera elektryka oraz skierowanie na studia magisterskie na Wydziale Łączności Politechniki Wrocławskiej, na którym w 1956 r. otrzymał tytuł magistra inżyniera łączności. Jak znowu wspomina: *Studia ukończyłem w czasach, w których każdy absolwent pod odpowiedzialnością karno-sądową musiał podjąć w oznaczonym czasie i wyznaczonym miejscu pracę, jako zadośćuczynienie umożliwienia zdobycia wiedzy oraz kwalifikacji zawodowych w Polsce Ludowej.* Henryk został skierowany do pracy w Zakładach Wytwórczych Podzespołów Telekomunikacyjnych TELPOD w Krakowie. Cieszył się, bo w Krakowie na AGH studiowała jego przyszła żona – Danuta. Ponieważ Kraków był wtedy miastem zamkniętym (zameldowanym mógł być tylko zatrudniony w krakowskim zakładzie pracy), więc fakt otrzymania zakładowego mieszkania również cieszył. Danuta i Henryk

pobrali się w 1956 r. Ze względu na niskie zarobki w TELPODZIE Henryk zmienił zakład pracy na ELEKTROMONTAŻ w Nowej Hucie, a w 1960 r. przeszedł do Biura Studiów i Projektów Hutnictwa BIPROSTAŁ, gdzie pracował aż do przejścia na emeryturę w 1990 r. Był autorem wielu specjalistycznych artykułów, które publikował w branżowej prasie technicznej. Wykonał też wiele nowatorskich i wysoko cenionych projektów z zakresu automatyki i automatyzacji w przemyśle hutniczym, koksochemicznym i innych. Uzyskał także uprawnienia rzeczoznawcy i jak wspomina, w ciągu tych lat sprawdził i wydał ponad dwa tysiące opinii na temat wielobranżowych zastosowań rozwiązań projektowych. Jego zaangażowanie i znajomość spraw zawodowych sprawiła, że często wyjeżdżał na krajowe i międzynarodowe konferencje i spotkania branżowe.

Jego przejście na emeryturę zbiegło się w czasie z powstaniem krakowskiego oddziału TMLiKPW. Henryk z wielkim zaangażowaniem zaczął działać w Kole Tarnopolan. Był organizatorem i współorganizatorem wielu corocznych ogólnopolskich zjazdów Tarnopolan (a było ich już 31). Na zjazdach tych był nie tylko duszą towarzystwa, umiejącym bawić i organizować ludziom czas, ale też miał dar przekonywania i potrafił łagodzić spory. Gdy krakowskie Koło przygotowywało zjazd, robocze spotkania odbywały się w gościnnym domu Henryka i jego żony. Henryk tryskał pomysłami i inicjatywą. Nawet przed tegorocznym zjazdem odwiedziliśmy bardzo już słabego Henryka, żeby zasięgnąć jego rady i opinii. Dlatego wielu uczestników chwaliło te „krakowskie” zjazdy. Działalność w Kole to nie tylko zjazdy, była to też działalność charytatywna, kontakty z Polakami mieszkającymi w Tarnopolu, wspomaganie księdza w budowie nowego kościoła w Tarnopolu. Z jaką radością Henryk pojechał z żoną na jego konsekrację w 2008 r.! Henryk dużo też publikował w naszym kwartalniku „Cracovia–Leopolis”. Wspólnie przygotowaliśmy tzw. numer tarnopolski (1/2004), potem były też indywidualne artykuły Henryka: na

temat buławy marszałka Rydza-Śmigłego, o pilotce J.D. Sikorzance, o Jego bracie Zdzisławie – lekarzu z Lublina, czy w końcu o historii kościołów w Tarnopolu. Działał nie tylko w Kole Tarnopolan, przez jakiś czas był przewodniczącym Komisji Rewizyjnej w TMLiKPW, a także w TG „Sokół” Macierz Lwów.

Kiedy w 2007 r. powołano w Krakowie Stowarzyszenie im. ks. Władysława Bukowińskiego „Ocalenie” (w trakcie trwania procesu beatyfikacyjnego Sługi Bożego ks. Bukowińskiego – misjonarza Kazachstanu), Henryk, zafascynowany postacią tego wybitnego Kapłana, któremu hołd złożył sam papież Jan Paweł II podczas swojej wizyty w Kazachstanie w 2001 r., czynnie włączył się w działalność Stowarzyszenia, wspomagając organizację corocznych sympozjów na temat życia i działalności ks. Bukowińskiego, przewodnicząc Walnym Zebraniom Stowarzyszenia, a także wraz z Małżonką wspierając materialnie budowę Centrum w Zagórniku k. Andrychowa, gdzie powstała m.in. Izba Pamięci poświęcona Apostołowi Wschodu, patronowi zesłańców, ofiar łagrów. Śp. Henryk doczekał również beatyfikacji Sługi Bożego, która odbyła się w Karagandzie 11 września 2016 r.

Na ostatniej drodze śp. Henryka Kleinkrocka swoją modlitwą otoczył go ks. prałat Jan Nowak – postulador procesu beatyfikacyjnego, który koncelebrując mszę św. żalobną poświęcił mu wiele ciepłych słów. W pożegnaniu na cmentarzu Rakowickim w Krakowie 6 października 2017 r. towarzyszyła śp. Henrykowi najbliższa rodzina (żona, dwaj synowie, czworo wnuków), jak też i dalsza rodzina, Tarnopolanie, członkowie Stowarzyszenia „Ocalenie”, liczni przyjaciele i znajomi.

Henryku, dziękujemy Ci za wieloletnią Twoją przyjaźń i obecność, za serdeczność, życiową mądrość oraz wszelakie dobro, którego od Ciebie zazналиśmy. Spoczywaj w Bogu!

**Anna Madej  
i Koło Tarnopolan w Krakowie**

# Książki czasopisma

Danuta Trylska-Siekańska

## Rzeczpospolita Krzemieńska

Współczesna literatura dotycząca dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej – w szczególności Wołynia, została wzbogacona przez Wydawnictwo Wysoki Zamek, które wydało książkę p. Bożeny Gorską pt. **Rzeczpospolita Krzemieniecka albo Nowe Ateny Wołyńskie**. Obszerne dzieło zawiera 511 stron, w tym bibliografię i źródła cytatów, spis 67 ilustracji, indeks osób, indeks miejscowości.

W 45 rozdziałach książki zawarte zostały cenne i ciekawe, obszerne informacje o historii Ziemi Wołyńskiej, ludziach zamieszkujących te tereny i ich codziennych problemach. Głównym tematem, wokół którego toczy się narracja, jest Krzemieniec z fenomenem edukacyjnym, jakim było Liceum Krzemienieckie, a w XIX wieku Gimnazjum/Liceum Wołyńskie.

We wstępie autorka pisze, że kiedy na mocy traktatu ryskiego z 18 marca 1921 r. została ustalona wschodnia granica Polski i zakończyło się na Wołyniu rosyjskie panowanie, po ponad stu latach zaborczych rządów, Polacy przejęli ruiny i zniszczoną strukturę ekonomiczną. Mieszkańcy wyniszczeni byli przez nędzę wojenną i głód, powszechny był analfabetyzm (68,8%) i zły stan zdrowotny. Wyraźny postęp w ożywieniu gospodarczym i likwidacji analfabetyzmu widać było w kolejnych latach niepodległości. Pozytywny udział mieli tu uczniowie z Liceum Krzemienieckiego, którzy jako instruktorzy działali w środowiskach wiejskich. W roku 1938 na Wołyniu było 1906 szkół.

W rozdziale o Liceum Krzemienieckim autorka pisze o uczniach-poetach, którzy swoje utwory zamieszczali na łamach pisma „Nasz Widnokrąg” wychodzącego przez 12 lat. W tej dziedzinie wyróżniali się Zygmunt

Jan Rumel i Feliks Łańcucki. Zacytowane są ich utwory. Obaj nie przeżyli II wojny.

W rozdziale *Duch Czackiego* autorka omawia postać twórcy Gimnazjum Wołyńskiego, jego współpracę z Hugonem Kołłątajem, tło polityczne powstania Gimnazjum, zasady nauczania i historię rozwoju. W roku 1819 zostało przekształcone w Liceum Wołyńskie z prawem nadawania niższych stopni naukowych. Rozdział ten daje obszernie potraktowaną historię Liceum w Krzemieńcu w XIX wieku.

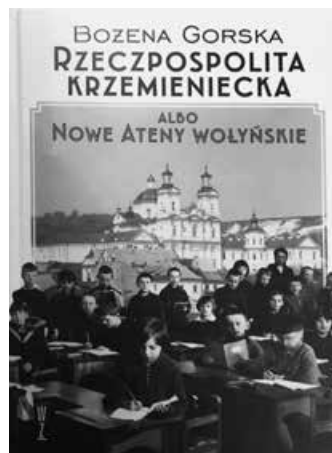
Działalność Liceum Krzemienieckiego w 20-leciu XX wieku obrazuje większość rozdziałów, a kwintesencją jest rozdział *Struktura Liceum Krzemienieckiego*.

Wśród wielu rozdziałów nie zabrakło też miejsca dla największego i najślawniejszego krzemieńczanina, jakim był Juliusz Słowacki. Wprawdzie niewiele lat i miesięcy swego życia spędził w Krzemieńcu, ale wspominał go i utrwalał w swych utworach.

Bardzo ciekawy jest rozdział zatytułowany *Różyczka*, poświęcony mało znanej ambasadorce spraw polskich, rodowitej Francuzce. Rosa Mathilde Boilly-Aimee (1890–1976) nazwana została „Wielką Francuzką o polskim sercu”. Działała w wielu dziedzinach – pomagała sierotom wojennym, popularyzowała kulturę polską we Francji, po nauczeniu się języka polskiego tłumaczyła poezję – w tym Juliusza Słowackiego. Kilka razy była w Polsce, a Krzemieniec odwiedziła dwukrotnie.

Tematyką innego rozdziału jest harcerstwo krzemienieckie. Męskie datuje się od roku 1920, kiedy to drużyna Józef Wolański założył w Liceum I Krzemieniecką Drużynę Harcerzy. Równoległe, od początku 1921 roku, rozwijało się harcerstwo żeńskie zainicjowane przez drużynę Barcicką.

Wśród kilkudziesięciu rozdziałów tematycznych zostało wiele problemów Ziemi Wołyńskiej,



takich jak: komunikacja, kanalizacja, zdrowie, życie kulturalne, oświata, uniwersytety ludowe, ogniska wakacyjne, stypendia, fotografika itp. W ramach ciekawostek dołączono mały rozdział *Ciastko u Turka* o znanej tureckiej piekarni-cukierni pasującej do wielonarodowościowej społeczności miasteczka.

Trzeba zaznaczyć, że publikacja, zawierająca wiele ciekawostek i szczegółów, nie ma charakteru przewodnika po Krzemieńcu i Wołyniu. Przez to, że autorka czerpała z różnych źródeł, w tym archiwów, książka jest bardzo ciekawa, ale nietypowa. Hasłowy układ rozdziałów pozwala czytelnikowi na dowolną kolejność czytania.

**Anna Stengl**

## O lwowskim szkolnictwie w latach 1914–1946

**J**erzy Kowalczyk, lwowianin, profesor Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie, od wielu już lat zajmuje się historią polskiego szkolnictwa we Lwowie. Opracowania dotyczą zarówno szkół średnich, jak i wyższych. Jednym z owoców zaangażowania i ogromnego wkładu pracy Profesora jest książka, wydana nakładem Wydawnictwa Akademii Górniczo-Hutniczej, która ukazała się w 2017 roku w ramach monografii wydawnictw naukowych AGH: *Szkoły. Nauczyciele. Uczniowie. Przyczynek do historii szkolnictwa, oświaty i wychowania na obszarze Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej*. Jak pisze we wstępie Autor: *Niniejsze opracowanie powstało z potrzeby mego powrotu do minionej przeszłości... i ... Moje wspomnienia lat młodszych spędzonych we Lwowie w dużym stopniu zaważyły na tym, że podjąłem się opracowania monografii średnich i wyższych szkół lwowskich.*

Zarówno tytuł opracowania, jak i fotografie na okładce – Politechnika Lwowska i Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie – już zachęcają Czytelnika do poznania zawartej w książce treści. Kiedy przeczytałam w podtytule *Przyczynek do historii...* i sięgnęłam głębiej, pomyślałam: jakąż to skromność przemawia przez Profesora; jak wiele trzeba było zgromadzić materiałów archiwalnych, uzyskanych w wyniku kwerendy, głównie w bibliotekach krajowych, ale i w archiwach państwowych we Lwowie, aby powstała tak obszerna publikacja. Trzeba zaznaczyć, że już wcześniej ukazało się szereg monografii autorstwa Profesora o poszczególnych szkołach, notabene wydanych nakładem

Autora (str. 319–322), których fragmenty znalazły się także w niniejszej książce.

W omawianym opracowaniu znalazło się wiele szczegółów dotyczących poszczególnych szkół, m.in. fragmenty sprawozdań wybranych dyrekcji lwowskich gimnazjów, historia szkół i ich nauczycieli, prace naukowe związane ze szkolnictwem wyższym we Lwowie; sporo interesujących informacji można także przeczytać w zamieszczonych wspomnieniach.

Treść książki ujęta jest w trzy obszerne części, z których każda mogłaby stanowić osobną publikację.

Postaram się pokrótce przybliżyć treść poszczególnych rozdziałów, chociaż trudne to zadanie, bo jak można mówić o wielu ważnych sprawach, a przede wszystkim „skrócić” to, czemu Profesor poświęcił znaczną część swojego życia. Przedstawienie zagadnień zawartych w kolejnych częściach wydaje mi celowe ze względu na to, że taka informacja zachęci zapewne Czytelnika do tego, aby sięgnął głębiej.

### **CZĘŚĆ I: SZKOŁY LWOWSKIE 1914–1946**

Wśród nich:

- *Wyższe Realne Gimnazjum Męskie im. Adama Mickiewicza w okresie I wojny światowej;*
- *IV Męskie Gimnazjum im. Jana Długosza w latach 1915–1930;*
- *Jubileusz Zgromadzenia Sacré Coeur we Lwowie (21 XI 1800–21 XI 2000)*
- *Rys historyczny Zgromadzenia Sacré Coeur we Lwowie (1843–1946)* – nie-

zwykle interesujący artykuł autorstwa Jerzego Kowalczuka;

- *Komplety tajnego nauczania w Liceum Zgromadzenia ss. Sacré Coeur we Lwowie w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej (1943–1946)* – autorstwa Jerzego Kowalczuka;
- *Organizacja życia naukowego w dwudziestoleciu międzywojennym we Lwowie* – autorstwa Jerzego Kowalczuka

W międzywojniu funkcjonowały 4 wyższe uczelnie: Uniwersytet im. Jana Kazimierza (UJK), Politechnika Lwowska (PL), Akademia Handlu Zagranicznego (AHZ), Akademia Medycyny Weterynaryjnej (AMW), a także Konserwatorium Muzyczne (z Filharmonią), także traktowane jako szkoła wyższa.

W odniesieniu do szkolnictwa wyższego i wymienionych uczelni znalazły się tu bardzo ważne informacje, przede wszystkim dane dotyczące struktury lwowskich uczelni przed II wojną światową w latach 1938/1939, istniejących wtedy wydziałów, zakładów naukowych, wraz z podaniem składu osobowego, władz uczelni oraz wybitnych uczonych.

Należy podkreślić, że lwowskie uczelnie wydały wspaniałych naukowców, wielu z nich, zachowując lwowski hart ducha, po II wojnie światowej organizowało w różnych ośrodkach szkolnictwo wyższe w nowej polskiej rzeczywistości, w trudnych i niejednokrotnie niesprzyjających warunkach.

Końcowy fragment opracowania o uczelniach i dramatycznych wydarzeniach na Wzgórzach Wuleckich dotyczy apokalipsy nauki polskiej we Lwowie – kaźni Profesorów Lwowskich w lipcu 1941 roku, najokrutniejszej w dziejach zbrodni na nauce polskiej.

## CZĘŚĆ II. NAUCZYCIELE I UCZNIOWIE

To chyba najbliższa nam część tej książki – mimo wszystko czasy nie tak dawne, jeszcze wiele wspomnień można by odnaleźć w pamięci, czego dowodem są spisane wspomnienia wielu Osób, które chciały się nimi podzielić.

- *Szkoła Kistryna. Wspomnienia uczniów z okresu nauki w Szkole Powszechnej i Gimnazjum im. Henryka Jordana*
- W tym fragmencie książki pojawiają się pierwsze wspomnienia (w nawiasie podano ich autorów):

- *Kilka wspomnień o Mieczysławie Kistrynie i jego szkole im. H. Jordana* (Tadeusz Kistryn, bratanek Mieczysława)

- *Wspomnienia ze Szkoły Powszechnej im. Henryka Jordana we Lwowie tzw. „Szkoly Kistryna” (1931–1937)* (Helena Żygulska-Mach)

- *Siedem lat u Kistryna* (Stanisław Głąbiński, kistrynowiec, z zawodu dziennikarz i publicysta)

- *Kistryn. Wspomnienie lwowskie z lat 1927–1931* (Zdzisław Żygulski jun.)

- *Profesor Rudolf Wacek* (o tym wspaniałym Człowieku życiorys napisała córka profesora Wacka, Maria Wacek-Lewińska, wspomnienia bratanica Zofia Wacek-Iwanicka, swój zachwyty wyraził także Kazimierz Wajda, Szczepko (Antena 1936) pod znamienym tytułem *Fajny chłop*.)

- *Wspomnienia byłego ucznia szkół lwowskich. Być uczonym* (tekst wspomnień Bolesława Ludwika Dunicza udostępniła siostra profesora Dunicza, Helena Dunicz-Niwińska).

I wreszcie:

- *Wspomnienia byłych uczniów XI Gimnazjum im. J. i J. Śniadeckich we Lwowie* Gimnazjum mi najbliższe, bo najbardziej mi znajome ze wspomnień mojego Ojca. Nasuwa mi się bardzo istotna refleksja, która poszerza wachlarz zasług Profesora Kowalczuka. Mogłabym to określić tak, że Profesor przywraca w pamięci młode lata osobom, które w swych wspomnieniach wracają do czasów szkolnych i to Ich „odnawia”. Jestem przekonana, że odszukanie w pamięci – po tak wielu latach – zdarzeń, imion i nazwisk profesorów i kolegów dało tym, którzy snuli swoje opowieści, ogromną radość i satysfakcję. Widziałam to u mojego Ojca.

A swoje wspomnienia z XI gimnazjum przekazali: Zbigniew M. Groszek, Witold A. Lanowski (Łanowski), Lech S. Proczkowski,



Roman Zbigniew Sawicki, Henryk Stengl, Władysław Negrey, Kazimierz Klimowicz.

Celowo wymieniłam tych Panów, być może jeszcze ktoś któregoś z nich pamięta.

- *Zakład Szkolny ss. Sacré Coeur we Lwowie we wspomnieniach uczennic* (Helena Leska i Izabela Wysocka).

### **CZĘŚĆ III. LWOWIANIE W AKADEMII GÓRNICZO-HUTNICZEJ**

Tę część rozpoczyna lista lwowian sporządzona według *Wielkiej Księgi Akademii Górniczo-Hutniczej*, wydanej w 2004 roku, oraz według informacji podanych na stronie internetowej *Historia AGH*, [www.historia.agh.edu.pl](http://www.historia.agh.edu.pl). Dane o każdej z 55 osób spośród tych, które znalazły się na liście zawierają: imię, nazwisko, tytuł lub stopień naukowy, niekiedy tytuł zawodowy, rok i miejsce urodzenia, ewentualnie rok i miejsce śmierci, studia, specjalność i miejsce pracy (tu, prócz AGH pojawiają się także inne instytucje).

Następne strony poświęcone są nauczycielom akademickim AGH, którzy we Lwowie byli nauczycielami szkół wyższych lub szkół średnich. To niezwykle wartościowy i interesujący fragment opracowania. Wśród przedstawionych 13 biogramów znaleźli się: PT. Maksymilian Tytus Huber, Marian Kamiński, Stanisław Karlic, Jerzy Michał Kowalczyk, Henryk Orkisz, Włodzimierz J. Parachoniak, Stanisław Paraszczyk, Zbysław Popławski, Wojciech Rogala, Tadeusz Sendzimir (Sędzimir), Izidor Stella-Sawicki, Julian Tokarski, Piotr Wasiuń, Zdzisław Karol Wilk. Pod tytułem *Biogramy* omówione są szczegółowe życiorysy wyżej wymienionych naukowców, ich rok i miejsce urodzenia (ewentualnie także śmierci), specjalność, przebieg edukacji, losy w czasie II wojny światowej, miejsce pracy po studiach, pełnione funkcje, odznaczenia, zaszczyty (np. doktoraty honoris causa), członkostwo w organizacjach naukowych, komisjach zawodowych i stowarzyszeniach o różnym profilu. Bardzo wartościowa jest rozmowa Konrada Sury z Profesorem Kowalczykiem, opublikowana wcześniej w kwartalniku „Cracovia–Leopolis” (2/2000), dzięki której dowiadujemy się więcej o Autorze niniejszego opracowania.

Są także wspomnienia o tych, którzy odeszli, w kilku przypadkach powiązane z informacjami o tablicach pamiątkowych.

Książka zawiera 341 stron i zamyka ją: *Wykaz publikacji z serii szkolnictwa, oświaty i wychowania na ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – Kresach Południowo-Wschodnich; bibliografia; indeks* – blisko tysiąc nazwisk wymienionych w książce.

W słowach wstępu Autor wyraża serdeczne podziękowania dla wielu Osób, które znacznie przyczyniły się do opracowania i wydania monografii, wśród nich dla JM Rektora Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie, prof. dra hab. inż. Antoniego Tajdusia za życzliwość okazaną przy realizacji tematyki naukowej, związanej z opracowywanym tematem, a także JM Rektorowi prof. drowi hab. inż. Tadeuszowi Słomce, który podjął decyzję o wydaniu drukiem niniejszego opracowania. Niewątpliwie omawiana książka, dzięki Wszystkim, którzy w tym pomogli, jest także ukłonem Profesora w stronę macierzystej Uczelni i znacznie wzbogaca wiedzę o historii Akademii. Swoje podziękowania Autor składa także Wydawcy monografii, wyrażając słowa uznania za bardzo estetyczną i fachową edycję.

Podziękowania kieruje Autor również do osób i instytucji wydawniczych (wśród nich do redaktora kwartalnika „Cracovia–Leopolis” inż. Andrzeja Chlipalskiego), dzięki którym miał możliwość publikowania kolejnych dotychczasowych opracowań.

Ale tu – myślę – że podziękowanie należy się także tym wszystkim, którzy „ofiarowali” Czytelnikom swoje wspomnienia na rzecz upamiętnienia czasów szkolnych przed II wojną światową we Lwowie. Te wspomnienia przenoszą nas w tamten czas!

Na koniec pragnę wyrazić ogromny podziw, wielki szacunek, ale także i podziękowanie dla Profesora Jerzego Kowalczyka za to, że wybrał drogę trudną, pewnie niekiedy wyboistą, ale z niej nie zawrócił. Swoją trud podarował nam wszystkim, którym zależy na zachowaniu pamięci o świetności lwowskiego szkolnictwa. To dla nas żyjących, ale także dla tych, którzy przyjdą po nas. Nasz czas powoli odchodzi, pozostaną jednak świadectwa, które tak pracowicie zgromadził i udokumentował Pan Profesor.

Stanisław Dziedzic

# Krystyny Zbijewskiej rzecz o Wyspiańskim

Nakładem Fundacji Promocji Kultury „Urwany Film” ukazała się właśnie, poniekąd w formie akordu zamykającego Rok Stanisława Wyspiańskiego, książka Krystyny Zbijewskiej **Orzeł w kurniku. Rzecz o Wyspiańskim**. Wznowienie tej książki było od wielu lat bardzo oczekiwane. Pierwsze i – jak dotąd jedyne – jej wydanie, którego dokonał w 1980 r. Państwowy Instytut Wydawniczy, przyniosło w 1981 roku prestiżową nagrodę „Książki roku” w konkursie ogólnopolskim organizowanym przez redakcję „Echa Krakowa”.

„Orzeł w kurniku. Rzecz o Wyspiańskim” – pisała Jolanta Antecką – jej pierwsza i najważniejsza książka miała znakomite recenzje.

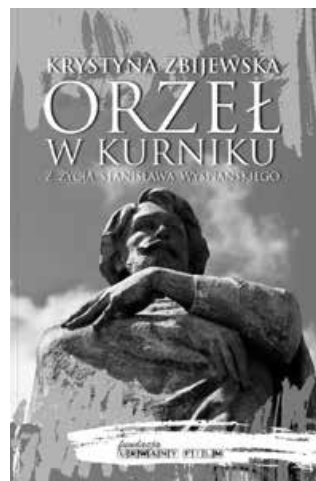
„Orzeł w kurniku” przynosi mnóstwo interesujących, a nowych, niekiedy rewelacyjnych faktów – chwalił Wojciech Natanson.

Z przyjemnością czytam książkę Krystyny Zbijewskiej o Wyspiańskim. Ile ciekawych rzeczy, spraw potrafiła wygrzebać w związku z tym niezwykłym człowiekiem. Jest świetnie napisana – wtórował Karol Estreicher. Opinie te w pełni podzielali czytelnicy, i pod tym względem książka była dużym sukcesem. (...) Orzeł w kurniku zainaugurował działania, których uwieńczeniem miało stać się Muzeum Wyspiańskiego.

Ta właśnie książka o Stanisławie Wyspiańskim (w latach późniejszych napisała niewielkie książki o charakterze popularnym, poświęcone Czwartemu Wieszczeni i literacim „Weselny” pierwowzorem: *Krakowskim szlakiem Stanisława Wyspiańskiego* oraz *Przybliżyć „Wesele”*) oraz obszerna monografia Zofia Jaroszevska – *legenda teatru* przyniosły autorce największy, zasłużony rozgłos i uznanie.

O ile wszakże Krystyna Zbijewska, jako dziennikarka specjalizująca się w tematyce kultury, zwłaszcza zaś teatru krakowskiego, była świadkiem sukcesów scenicznych Zofii Jaroszevskiej, występującej przez wiele lat na deskach Teatru im. Juliusza Słowackiego

oraz Starego Teatru, a z czasem przyjaciółką artystki, jej zauroczenie osobą i artystycznymi dokonaniem Stanisława Wyspiańskiego miało, nie tylko ze względu na uwarunkowania chronologiczne, zgoła inny wymiar. Młodzieńcze fascynacje, studia polonistyczne pod kierunkiem luminarzy w dziedzinie literatury i teatru, wreszcie kilkadziesiąt lat pracy w redakcji „Dziennika Polskiego”, dla którego artystyczne „cracoviana” były naówczas tematyką wiodącą, stały się probierzem zawodowego – i w konsekwencji – naukowego zainteresowania fenomenem Młodej Polski w Krakowie i jej wybitnymi artystami. Najwybitniejszy, najbardziej wszechstronny i Krakowem owdładnięty bezgranicznie, a przy tym najmocniej intrygujący i pełen sprzeczności, wręcz antynomii, Stanisław Wyspiański, otworzył przed nią świat porywających asocjacji zdarzeń, czuła się przynaglana do podejmowania badań, reporterskich zwiadów. Zainteresowaniom tym dobrze służyły dwa jubileusze Stanisława Wyspiańskiego: w 1957 r. – 50. rocznicy śmierci artysty, a w 1969 r. – 100-lecia jego urodzin. Nie tylko jako kierowniczką działu kultury w redakcji „Dziennika Polskiego”, ale osoba zafascynowana twórczością oraz artystycznymi wizjami, wreszcie losami jego niezwykłej, nierzadko pozostającej w zaniechaniu spuścizny, podejmowała wiele inicjatyw organizacyjnych oraz publicystycznych. Zbijewska w swoich poszukiwaniach naukowych i dziennikarskich z uporem i konsekwencją tropiła nieznane epizody i zdarzenia, doku-



menty i rodzinne papiery, odbywała podróże i rozmowy z osobami, które były świadkami wydarzeń o fundamentalnym znaczeniu dla wyjaśnienia wielu kwestii związanych z samym artystą, rodziną i otoczeniem. Efektem tych wieloletnich zmagani były dziesiątki artykułów, pisanych z pasją, ale i pożądanym dziennikarskim umiarem. Odkłamywała utarte nierządki opinie i sądy, prostowała doniesienia, pełne uproszczeń. Pozyskała do tych zwierzeń i poszukiwań najbliższą rodzinę Stanisława Wyspiańskiego, jego żony Teofili Teodory, przyjaciół artysty i ich spadkobierców.

Pod wpływem nalegań ze strony wielu osób, w tym także środowiska dziennikarskiego i naukowego, podjęła zamiysł przygotowania książki w całości poświęconej Wyspiańskiemu. Kluczowe stało się wówczas pytanie: czy książka o „Samotniku z Krakowa” ma być wyborem jej artykułów prasowych, podporządkowanych jakiejś ogólnej koncepcji, być może stosownie miejscami przeredagowanej, czy też raczej winna ją napisać odrębnie, jako jednolitą genologicznie całość, spójną konstrukcyjnie, z wyrazistą kompozycją. Pierwszy model Zbijewska rychło odrzuciła, wybrała drugi, bardziej pasjonujący: opowieść łączącą dziennikarską pasję z rygorami w pełni uwiarygodnionego wywodu.

Zbijewska napisała książkę fascynującą, świetnie skrojoną, o przejrzystej kompozycji. Czytelnicy tej opowieści, wyposażonej w solidne odsyłacze źródłowe, mieli bez wątplenia powody do poczucia, że autorka w wielu kwestiach skąpiła w niej informacji o wielu sprawach bynajmniej niedrugorzędnych, zwłaszcza w odniesieniu do losów jego dzieci, które po przedwczesnej śmierci ojca odczuwały rozliczne dramaty sieroctwa i niepowodzenia. Uznała, że o wielu tych i innych kwestiach mówić byłoby wówczas przedwczesnie. Mogłyby okazać się nazbyt bolesne i kłopotliwe.

Znałem osobiście Krystynę Zbijewską. Wielokrotnie rozmawialiśmy o jej zainteresowaniach teatralnych, często sięgaliśmy do genety tych jej fascynacji humanistycznych. Wielokrotnie podkreślała, że formację intelektualną wyniosła z rodzinnego domu, a później pogłębiała ją podczas studiów uniwersyteckich. Urodzona w 1920 roku w Złoczowie, na ziemi lwowskiej, w rodzi-

nie inteligenckiej (rodzice byli nauczycielami o profilu humanistycznym), już w Krakowie, po przeprowadzce uczęszczała do Państwowego Gimnazjum im. Królowej Wandy, wg starego, ośmioletniego systemu nauczania, a po maturze w 1938 r. podjęła studia z zakresu filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wraz z wybuchem wojny w 1939 r. rozeszły się drogi koleżanek i kolegów z uniwersyteckiego rocznika, o którym dr Kazimierz Wyka mówił, że był to *wyjątkowy rocznik i nigdy już nie powtórzył się taki (...)* w profesorskiej karierze tego wybitnego humanisty. Byli tam ludzie o znanych już w niedalekiej przyszłości nazwiskach – uczeni, literaci, aktorzy, dziennikarze. Jednym z nich był Karol Wojtyła, którego pasjonował teatr i literatura. Wielokrotnie o tym rozmawiali. Wyspiański, którym oboje byli zafascynowani, powracał w ich rozmowach wielokrotnie... Wojna przerwała studia polonistyczne Zbijewskiej, kontynuowała je dopiero po ustaniu działań wojennych. Wojtyła podjął konspiracyjne studia teologiczne. Inni – na różny sposób pracowali, uczyli się, dochodzili do prestiżowych funkcji i stanowisk.

Złoczów z konieczności, po zmianie granic, pozostawał w domu Zbijewskich już tylko sferą sentymentalnych odniesień. Najpierw jakiegokolwiek odwiedziny rodzinnego miasta były niemożliwe, później Krystyna Zbijewska nie mogła się zdobyć na wyjazd, na ciężką konfrontację wyniesionego z dzieciństwa wizerunku miasta z informacjami o nim, które do niej docierały. Przerazały ją informacje o wywóźce w 1940 r. tamtejszych Polaków do Kazachstanu, o egzekucjach w 1941 r. przez NKWD przetrzymywanych na tamtejszym zamku więźniów, głównie Polaków – urzędników i przedstawicieli inteligencji. Słyszała o straszliwych mordach, dokonanych w 1941 r. przez nacjonalistów ukraińskich, na tamtejszej ludności żydowskiej, o wywóźce Żydów z getta do obozu zagłady w Bełżcu. W Polsce w latach 80. coraz powszechniej, w nieoficjalnie kolportowanych pismach, drukowanych konspiracyjnie, donoszono o tych tragicznych losach ludzi zza wschodniej granicy. Opowiadała mi już u progu lat 90. o miejscowych Polakach i „polskim” tzw. popijarskim kościele i tamtejszym heroicznym duszpaście – ks. Janie Cieńskim, nie ukrywając



wzruszenia i podziwu dla patriotycznych postaw rodaków.

Nie chciała oglądać powojennego Złoczowa i złoczowskiej katowni – tamtejszego, skazanego na zniszczenie zamku, w którym po wojnie urządzono więzienie, a później internat. Później, gdy w nowej już rzeczywistości politycznej władze ukraińskie przystąpiły do gruntownego odnowienia zamku, gdy zaczęto porządkować status niektórych nieruchomości – nie miała już sił, ale pewnie i zapamiętała, by odwiedzić rodzinne miasto.

Zmarła 17 stycznia 2009 roku w Krakowie i tu spoczęła na salwatorskiej nekropolii, w pobliżu grobów swoich uniwersyteckich profesorów: Stanisława Pigonia i Kazimierza Wyki oraz luminarzy krakowskiej sceny – Zofii Jaroszewskiej, Juliusza Osterwy i Mieczysława Kotlarczyka.

Krakowianka ze Złoczowa. I było w niej coś z kresowiarki, gdy mówiąc o Stanisławie Wyspiańskim, zwykła przypominać, podkreślając może, że ojciec artysty, rzeźbiarz Franciszek Wyspiański urodził się we Lwowie...

## WYDARZENIA

◆ W holu budynku Poczty Głównej w Krakowie przez około miesiąc (10–11.2017) czynna była niewielka wystawa pt. *Operacja (anty)polska NKWD 1937–1938*. Została ona zorganizowana przez IPN we współpracy z Poczta Polska w 80. rocznicę wydania tajnego rozkazu nr 00485 ludowego komisarza ZSRS N. Jeżowa z dnia 11.08.1937 r. Jest to data rozpoczynająca prześladowanie Polaków na terenach – głównie Wołynia i Podola – które po pokoju ryskim w 1921 r. weszły w skład Związku Sowieckiego. Tereny te od czasów I Rzeczypospolitej zamieszkałe były w dużej mierze przez ludność polską. Według oceny różnych historyków było to od 900 tys. do 1,5 mln osób. Represje ze strony NKWD dotknęły co najmniej 150 tys. osób, z czego zamordowano ponad 111 tys. Na wystawie zaprezentowano symbolicznie archiwalne zdjęcia więzienne 11 Polaków – ofiar NKWD – z podaniem imienia, nazwiska, daty i miejsca aresztowania oraz daty rozstrzelania. Fotografie pochodzą ze zbiorów Centrum Naukowo-Informacyjnego „Memoriał” w Moskwie. Na dwóch planszach wystawowych wydrukowano tekst rozkazu 00485 N. Jeżowa w języku rosyjskim i w przekładzie polskim. (DTS)

◆ 1 grudnia w Międzynarodowym Centrum Kultury otwarto wystawę *Lwów. 24 czerwca 1937. Miasto. Architektura. Modernizm*. Na ekspozycji zaprezentowane zostały modele ważniejszych gmachów modernistycznych Lwowa, a także oryginalne projekty architektoniczne pochodzące ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Architektury we Wrocławiu, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Regionalnego w Stalowej Woli, Biblioteki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie, Biblioteki Narodowej w Warszawie, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Archiwum Polskiej Prowinencji Zgromadzenia Księża Misjonarzy w Krakowie i z kolekcji prywatnych. Pokazano też obrazy i grafikę artystów lwowskich, fotografie, filmy, pocztówki i plakaty. Kuratorami wystawy są Andrzej Szczerski i Żanna Komar. Po raz pierwszy wystawę pokazano w Muzeum Architektury we Wrocławiu w ramach Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

◆ 9 listopada 2017 r. w Klubie 6. Brygady Powietrzno-Desantowej w Wojskowym Ośrodku Kultury w Krakowie odbył się koncert pt. *Blues o dwóch miastach* poświęcony odsieczy Lwowa z 1918 r. Organizatorem była Fundacja Ocalenia Kultury Kresowej „Chawira” z Krakowa oraz gospodarze Klubu. W programie były piosenki o Krakowie i o Lwowie w wykonaniu artystów: Magdaleny Sowy, Dagmary Moskwy, Wojciecha Habeli i Zespołu „Chawira”. Prowadzący

koncert Wojciech Habela w profesjonalny sposób wplatał piosenki w tło historyczne dziejów Krakowa i Lwowa na przełomie XIX i XX wieku oraz w czasie I wojny światowej. Wykazał wzajemne stosunki wymienionych miast z okresową rywalizacją. Podkreślona została rola pomocy żywnościowej i materialnej oraz wojskowej odsieczy w listopadzie 1918 r., która nadeszła z Krakowa do Lwowa w krytycznym momencie. Koncertu z przyjemnością wysłuchało ponad sto zgromadzonych na sali osób. (DTS)

◆ 16 listopada w Galerii ASP otwarto wystawę prof. Zbigniewa Łagockiego zatytułowaną *Dotknięcia*. Kuratorką wystawy była Maria Luiza Pyrlík. Prof. Zbigniew Łagocki (1927–2009) urodził się we Lwowie. 6 listopada skończyłby 90 lat.

◆ 8 stycznia 2018 r. na pl. o. Adama Stuzińskiego w Krakowie, obok Krzyża Katyńskiego i tablicy pamięci Sybiraków, odsłonięta została tablica poświęcona pamięci Polaków – ofiar sowieckich zbrodni dokonanych w ramach Operacji Polskiej NKWD w latach 1937–1938. Przygotowanie tablicy i towarzyszącej odsłonięciu uroczystości przygotowano przez Instytut Pamięci Narodowej – Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie dla upamiętnienia 80-lecia wydarzeń. Tablica, której nadano tytuł *Zginęli. bo byli Polakami*, zawiera następującą treść: *Pamięci naszych rodaków, co najmniej 111 tysięcy ofiar komunistycznego ludobójstwa zamordowanych na obszarze Związku Sowieckiego, setek tysięcy ofiar głodu, wycieńczenia i niewolniczej pracy, wywiezionych w głąb „niehumanitarnej ziemi” w ramach „operacji polskiej” NKWD w latach 1937–1938*. Tablica zaprojektowana została przez Tomasza Węglara przy udziale Macieja Korkucia. Opiekę nad tablicą przekazano szkole i uczniom XLIV Liceum Ogólnokształcącego. (DTS)

◆ Spotkania w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, organizowane przez Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w pierwsze wtorki miesiąca, nadal trwają. Relacje dotyczące programu w 2017 roku ukazały się w kwartalniku „Cracovia–Leopolis” nr 2 i zakończyły się na spotkaniu 9 maja. Przed wa-

kacjami 6 czerwca odbyło się jeszcze jedno spotkanie, a w programie były prezentowane filmy związane z dziesięcioleciem Rozgłośni Lwowska Fala w Radiu Katowice oraz 83-leciem audycji *Na Wesolej Lwowskiej Fali*, z udziałem zespołu „Chawira”.

Po wakacjach, 5 września, gościliśmy doktorantkę Akademii Ignatianum w Krakowie Natalię Tarkowską, która w 165. rocznicę urodzin Apolinarego Tarnawskiego opublikowała w 2016 roku pracę magisterską pt. *Lecznica narodu. Kulturotwórcza rola Zakładu Przyrodolecniczego Doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na Pokuciu (1893–1939)*. Prelegentka zachwycała słuchaczy wiedzą i elokwencją, opowiadając szczegółowo o twórcy Zakładu, doktorze Apolinarym Tarnawskim, jego losach, rodzinie, organizowaniu i działalności w obrębie lecznicy, a także działalności patriotycznej, charytatywnej, społecznej, o Jego misji, którą sobie wyznaczył – uzdrowienie społeczeństwa polskiego. Więcej na temat tej wspaniałej publikacji możemy przeczytać w nr. 3/2017 kwartalnika „Cracovia–Leopolis”.

3 października dr Sławomir Dorocki i mgr Paweł Brzegowy z Instytutu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie odwiedzili nas ponownie. Tym razem Paweł Brzegowy wygłosił interesującą prelekcję: *Pod niebem Południowej Afryki. Geobotaniczne i geograficzne badania Antoniego Rehmana Kraju Przylądkowego, Natalu i Transwalu*. Jak zawsze, niezależnie od tematu, opowieść była bardzo interesująca.

Listopad, w którym szczególnie myślimy o tych, którzy odeszli, 5. dnia tego miesiąca przeżyaliśmy Lwowskie Zaduszki, wspominając naszych członków, uczestników wtorkowych spotkań na przestrzeni ostatnich 10 lat. Było nostalgicznie, uświadomiliśmy sobie, że trzeba od czasu do czasu do pomyśleć o tych, których już z nami nie ma, możemy ich tylko przywracać w naszej pamięci. Na zakończenie tego spotkania p. Andrzej Pawłowski przeczytał 2 nowele autorstwa Artura Schrodiera z tomiku opowiadań *Orleńta* – dla uczczenia pamięci Obrońców Lwowa.

5 grudnia obejrzelśmy film zatytułowany *Voyage, voyage* autorstwa Aleksandry Potoczek, opowiadający o jubileuszu 70-lecia Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego. (Anna Stengl)

## I strona okładki:

Dworzec kolejowy w miejscowości Skole powstał w latach budowy (1884–1888) linii kolejowej ze Stryja przez Ławrocze do Munkacza. Budową „żelaznej drogi”, nazywanej też „pierwszą trans-karpacką koleją w Galicji Wschodniej”, kierował inż. Stanisław Kosiński ze Lwowa.

---

### Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

### Prezes Zarządu:

Adam Guyrkovich

---

### Rada Programowa:

Stanisław Czerny – wiceprezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkovich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wolczański – Uniwersytet Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – Kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

### Redaguje zespół:

Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Andrzej Chlipalski (redaktor honorowy),

Janusz M. Paluch (redaktor naczelny) – tel. 608 155 693, mail: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com)

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

---

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Krystyna Stafińska STAROPOLSKIM OBYCZAJEM	1	Sławomir Gowin I WARSZAWIAK Z SERCEM BATIARA	42
HOMILIA KS. PRAŁATA DRA JANA PASIERBKA	1	Karolina Grodziska SPORTOWE TEMATY W SOWIECKIM LWOWIE	45
Małgorzata Orzeł ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH	3	Poezja Hanna Wietrzny	48
Lucyna Kulińska PROMETEIZM W CZORAJ I DZIŚ	8	Proza Paweł Jaszczuk PLAN SARY (fragment)	49
Jana Wingralka APEL	16	Joanna Halaunbrenner-Lisowska, Jan Gromnicki STUDENCKI KOMITET POMOCY REPATRIANTOM 1956/57	52
Zbigniew Wawszczak ... BACZ, ILE ON MAJU KRAWATKÓW	17	Wspomnienie O ŚP. HENRYKU KLEINROKU	55
Paweł Brzegowy ANTONI REHMAN – BOTANIK Z KRAKOWA, GEOGRAF ZE LWOWA	21	Książki ♦ czasopisma Danuta Trylska-Siekańska RZECZPOSPOLITA KRZEMIENIECKA	57
Anna Stengl MARIA BARTUSÓWNA	23	Anna Stengl O LWOWSKIM SZKOŁNICTWIE W LATACH 1914–1946	58
Janusz M. Paluch PAMIĘTAJMY O NASZYCH SZKOŁACH!	24	Stanisław Dziedzic KRYSTYNY ZBIJEWSKIEJ RZECZ O WYSPIAŃSKIM	61
Tomasz Wasilewski ZEGAR – PRZEZNACZENIE (3)	29	WYDARZENIA	63
Rozmowa Zbigniew Wawszczak ROZMOWA Z ANDRZEJEM CHŁOPECKIM	35		